№ 50 Warszawa, dnia 1 (13) Grudnia roku 1879.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w roku przyszłym 1880 wychodzić będą podtemi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnéj *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może. Zaraz z pierwszym numerem rozpoczniemy druk powieści dwutomowéj p. t. **Eugenia Lawal**, napisanéj oryginalnie przez Kazimierza Gregorowicza, osnutéj na tle życia społeczności francuzkiéj i na dokumentach urzędowych. Późniéj pomieścimy drugą część Obrazków Warszawskich p. t. Błędne drogi.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie** — **k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1.**
Półrocznie	**rs. 2.**
Rocznie	**rs. 4.**

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Tygodnik Rolniczy, pismo wszystkim gałęziom rolnictwa poświęcone, którego celem jest popularyzowanie nauki rolniczéj, zaznaczanie wszelkiego postępu w produkcyi rolniczéj i zwierzęcéj, jak niemniéj zaznajamianie ogółu ze stanem ekonomicznym kraju w roku przyszłym 1880 wychodzić będzie pod temiż co dotąd warunkami pod głównym kierunkiem J. K. Gregorowicza.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK ROLNICZY

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 20**

Półrocznie	**„ 2 „ 40**
Rocznie	**„ 4 „ 80**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie	**rs. 1 kop. 50**
Półrocznie	**„ 3 „ —**
Rocznie	**„ 6 „ —**

Przesyłając pieniądze prosimy adresować: do *Redakcyi Tygodnika Rolniczego w Warszawie, ulica Chmielna N. 20.*

LISTY Z PODRÓŻY.

PRZEZ

Stefana Marusińskiego.

(Dalszy ciąg).

Na ruinach stubramnych Teb w styczniu 1878 r.

Znowu jestem w Luksor gdzie zapewne dłużéj zabawię, korzystając więc z czasu przesyłam wam żądany opis ruin i świątyni w Dendera, jako pierwszéj godnéj uwagi następnie zaś opisze Teby i t. p. Na zachodnim brzegu Nilu od źródeł, naprzeciwko miasta Keneh blizko godzinę drogi od brzegu, leżało niegdyś miasto egipskie Tentyra z którego oprócz świątyni i nazwy Dendera nic nie powstało.

Świątynia otoczona opuszczoną wsią arabską jest prawie najlepiéj zachowaną w całym Egipcie. Drogą doń wiodącą przez gaje daktylowców, palm wachlarzowych, mimozy, cyprysów, przez pola zasiane durrach i rycynusami, jest nader malowniczą. Już zdala daje się widzieć olbrzymia brama świątyni,

która z jednéj strony gruzem zasypana po lewéj tylko jeden kant gzemsu posiada. Przeszedłszy przed nią staje się przed świątynią.

Zeszedłszy po kilkunastu stopniach na dół znajdziemy się w olbrzymiéj na pół oświetlonéj sali mającéj 6 kolumn na froncie a więcéj w głębi. Kolumny te 60 stóp wysokie a 8 średnicy, mają u wierzchu z 4-ch stron głowę bogini Hator (bogini miłości) któréj twarz z jéj chusty grobowéj zimno i meduzowato nam się przygląda. Ma ona krowie uszy na znak zwierzęcia które jéj było poświęcone. Na głowie ma bramę świątyni jako symboliczny znak. Téj to bogini była cała świątynia poświęcona. Jéj postać znajduje się także w skulpturach to jest rzeźbach, wielokrotnie powtórzona na ścianach podziemnych ganków, naturalnéj wielkości lecz bez krowich uszów. Doprawdy tak pięknéj i wdzięcznéj twarzy nie zdarzyło mi się widziéć, godzinami przyglądałem się jéj i jeszcze nie miałem dosyć. Kolumny do koła pokryte sculpturami jak by haftem, po nad głową Hator podnoszą się kwadratowe kapitele na których błękitne gwiazdami zasiane sklepienie świątyni spoczywa.

U spodu kolumn widać listki lotusu. Za tym pierwszym portykiem następuje środkowa część świątyni z ciemnemi pobocznemi misami, dalej zaś ostatnie i całkiem ciemne miejsce najświętsze. Na około niego wiodą podziemne ganki i chodniki ciągnące się w rozmaitych kierunkach i dość głęboko, ściany ich są pokryte (literalnie) pięknemi rzeźbami (sculpturami) wytwornie wykonanemi. Nie uwierzycie jak dziwnego wrażenia doznaje się oglądając przy świetle pochodni te zabytki zaginionego narodu. Zdawało mi się iż za pierwszym zakrętem spotkam egipskiego kapłana w jego białych szatach z poważną twarzą, tak wszystko jest zachowane pomimo iż tyle wieków już stoi.

Na dachu na który schody z jednéj pobocznych prowadzą, znajduje się maleńka z kolumn złożona świątynia. W wielu dziełach bogini Hator zwaną jest boginią piekła lecz u starożytnych Egipcyan była tem czem grecka Wenus, na jéj święto które zdaje mi się na wiosnę przypadało, tysiące ludu zgromadzało się do Dendera gdzie się zbyt wesoło zabawiano, bo nawet kobiety biorące udział w uroczystości, upijały się równie jak mężczyźni.

Niektórzy badacze utrzymywali do niedawna, że przedsionek téj świątyni przez Cezara Tyberyusza zbudowany został. Lecz dziś pokazuje się że to błędne mniemanie.

Wprawdzie na rzeźbach ściennych widać tego cesarza jak również i następców jego Kaligulę, Klaudyusza, Nerona ofiarujących bogini, lecz to oznacza iż oni przyczynili się tylko do częściowego upiększenia téj świątyni, i imiona ich są dodane. Jest to więc ni mniéj ni więcéj tylko rodzaj chronologicznego pamiętnika w staro egipskim stylu oznaczony. Podczas gdy założenie i budowa téj świątyni bardzo dalekiéj przeszłości sięga, portyk należy do czasów zbudowania 3-éj piramidy, t. j. sarkofagu Mykerinosa w tejże, jak się to z całego stylu obydwóch budowli pokazuje (3.800 lat przed Chrystusem).

Na zewnętrznéj stronie tylnéj ściany znajduje się postać Kleopatry i jéj syna, jak to napisy w greckim języku wskazują. Twarz królowéj jest zniszczoną i potłuczoną i może dlatego nie pokazuje téj piękności z jakiéj Kleopatra słynęła.

Po lewéj stronie świątyni stoi tak zwane Tyfonium, jest to głękoka poprzedzielana przestrzeń, z zewnątrz w okół otacza ją zasypana dziś galerya z kolumn, których widoczne kapitele z czterech stron pokazują wykrzywioną i wstrętnie szkaradną postać bożka Pta pierwszego stworzyciela, wnętrze zaś téj świątyńki jest symbolicznem przedstawieniem domu urodzenia bożka Ehu (boga dnia) syna bogini Hator i bożka Re jéj męża (bóg słońca). Bożek dnia jest przedstawiony w świątyni jak siedzi na kwiecie lotosu i trzyma palec w ustach jak symbol dzieciństwa. Zdaje się że ten Ehu z greckim Eos jest spokrewnionym.

Takie symboliczne domy urodzenia spotyka się często przy świątyniach gdzie para bożków mieszkała; po staroegipsku zwą się one Mameisi.

Nad wejściem świątyni umieszczona oskrzydlona kula jest symbolem słońca, a sęp trzymający w szponach berła z piór jest duchem opiekuńczym bożków i bohatérów. Na suficie portyku znajduje się przedstawienie Zodyegu mające oznaczać północną konstelacyą gwiazd w czasie zmiany dnia w lecie. Dopiero po bliższem wpatrzeniu spostrzegają się znaki: lwa, barana, panny; koziorożca, strzelca, bliźniąt i skorpiona. Macie więc moje drogie siostrzyczki dokładny opis, wprawdzie suchy, lecz wierzcie mi iż uczucie jakiego się doznaje zwiedzając te starożytności jest tak dziwnem, iż doprawdy trudno je opisać; może ustnie lepiéj opowiedziéć byłbym w stanie.

Co do zadawanych mi pytań postaram się według możności odpowiedziéć:

Podań o żydach między dzisiejszą ludnością brak zupełnie. Jedno jedyne jakie zostało dotycze miejsca znalezienia Mojżesza przez córkę Faraona, które mi nad Nilem pokazano. Ziemia Gessen leżała w delcie Nilowéj na północ od Kairu. Lecz żydzi będąc w Egipcie nie budowali żadnych świątyń, a domy ich również jak Egipcyan były z ziemi, dla tego téż opuszczone rozsypały się nie zostawiając żadnych po sobie szczątków. Zresztą w téj kwestyi porozmawiamy kiedy wspólnie bo w wolnym czasie pracuję téż i nad książkami trochę bo wiadomości szkolne nie są mi wystarczające.

Typy czyste starych Egipcyan przechowały się aż do dziś dnia, pomiędzy Koptami i niektóremi Fellachami to jest ludem wiejskim. Gdy Arabowie zawojowali Egipt po upadku Rzymskiego państwa, ludność cała była chrześciańską, ś-ty Mateusz bowiem przyniósł tę wiarę do Egiptu podczas gdy ś. Marek nauczał w Abissynii gdzie do dziś dnia ludność przeważnie Chrześciańska. Arabowie, jak wiecie, nawracali mieczem i ogniem, w Egipcie zatem któż im się mógł oprzéć? Lud musiał przyjąć wiarę proroka a z nią i nazwę prabską, bogatsi zaś, których liczba nie była zbyt wielką, schronili się więcéj ku południowi, gdzie do dziś dnia są znani pod nazwą Koptów. Pozostali oni chrześcianami lecz są greckiego wyznania gdyż jak wiecie z historyi kościoła, państwo rzymskie wschodnie czyli bizantyjskie, odszczepiło się od Rzymu w kilka wieków po Chrystusie. Podbity więc naród egipski, który dziś w ogóle jest znany pod nazwą Arabów, przechował wiele rysów z ich dawnych przodków, z klassą zdobywców bowiem nie mieszał się zbyt prędko. Sam widziałem dużo kobiet i mężczyzn arabskich, których twarze dokładnie rysy starych egipcyan przypominają. W ogóle między najniższą warstwą ludności dzisiejszego Egiptu wieśniakami którzy uprawiają ziemię, trzeba szukać starych Egipcyan. W górnym Egipcie począwszy od Sint aż do Luksor znajdują się Fellahowie katolicy. Czyżby to byli potomkowie tych pierwszych mieszkańców, którzy wiarę z rąk apostołów przyjęli, lub których później missyonarze katoliccy nawrócili do rzymskiego kościoła? Do dziś nie mógł mi nikt dać tu na to pouczającéj odpowiedzi, ale muszę się o to postarać gdyż koniecznie chcę wiedziéć dokładnie.

Podróż z Assnan odbyłem dobrze, cierpiałem tylko trochę na newralgią lecz dziś już to przechodzi, a zresztą jestem zdrów, wesół i dobréj myśli. Przybywszy tutaj konsul niemiecki zabrał mnie koniecznie do siebie, i u niego z gazet angielskich dowiedziałem się o wojnie z Afganistanem oraz o zamachu na życie królów Hiszpanii i Włoch. Przez cały ten przeciąg czasu od listopada żyłem nie wiedząc nic o polityce ani Europie. Jest to przyjemnie ale nie na długo, zawsze nawyknienie i ciekawość bierze górę.

Powietrze tutaj troszkę się już ochłodziło, ranki są chłodne lecz w dzień słońce pali jak u nas w lipcu. Żniwa rozpoczęte, ale dawny urodzaj Egiptu zniknął, dziś wszystko zebrane zboże zostaje spożyte w kraju, nic się nie sprzedaje. Biedni Fellahowie są uciskani przez rząd ogromnie, jednak być może iż od Nowego Roku, komissya europejska rządząca w Egipcie ulży im trochę w podatkach. Wielki téż już czas na to.

Kochana Matka pyta się, czy tu pijam kawę ze śmietanką? Ostatni raz piliśmy ją razem w Krakowie a chléb jadam nie nasz wyborny żytni, lecz z durrah lub pszenicy ale źle pieczony. O maśle na chléb ulubionym moim przysmaku, ludzie tu pojęcia nie mają, lecz raz przecie spotkałem kobietę niosącą na targ masło wraz z maślanką w koziéj skórze. Kupiłem od niéj wszystko, maślankę zaraz wypiłem a masło niesolone wraz z chlebem jako najlepszy specyał spożyłem. Nawet do dzikiéj kaczki, którą rano upolowałem, nie dałem ani troszki, tak dobre było że go żałowałem. Kaczkę ugotować kazałem na potrawkę i tak zjadłem, bo to było na statku, ale dziś u konsula na obiad podali rodzaj kluseczków z wodą, których zjadłem dwie miseczki, tak mi ta potrawa smakowała, zdawało mi się że jestem w domu razem z wami.

Na samym wyjeździe z Assnan byłem u tego kupca Anglika, zostawił mnie na obiedzie, przedstawił całą swą rodzinę.

Żona i siostra jéj obie włoszki, młode i bardzo ładne były to bardzo eleganckie damy. Lecz najwięcéj ubawiłem się z jego dzieciakami, takie miłe, ładne lecz blade biedactwa, zdawało mi się że to Mieczek i Anetka, oraz moje siostrzeńcy i siostrzeniczki. Kochane dzieci jakże oni powyrastają zanim ja ich znów zobaczę! Mówcież im często o mnie i nauczcie kochać chociaż nieobecnego.

Chociażby dłużéj listu nie było nic się nie troszczcie, bo jeszcze nie wiem czy mi nie wypadnie płynąć do Indyi, chociaż wolałbym zostać w Egipcie, lecz co bądź wypadnie, gdziekolwiek się udam daléj czy bliżéj wszędzie czuję nad sobą Bożą opiekę i polecam się Jéj z ufnością. To téż i was proszę nie smućcie się z mego powodu i nie wyobrażajcie złych przygód, a myśl żebym miał o kraju zapomniéć niech nawet nie przejdzie wam przez głowę. Wszędzie i przedewszystkiem czuje się Polakiem, wierzcie mi że na obczyznie uczucie to potęguje się jeszcze.

Zdarzenia i przygody które mi w listach opisujecie, wywołały cały rój myśli i wspomnień dzieciństwa i szkolnych czasów, tak że żadna myśl nie przeminie bez snu o was moi kochani, o domu, dawnych profesorach, kolegach i znajomych. Wierzcie mi że gdybym przez te kilka godzin nocy nie żył choć we śnie z wami, to piękność Egiptu nie miałaby dla mnie tego uroku, a nawet nie wiem czy nie starałbym się o powrót do Europy, żeby bliżéj domu się znaléźć.

Lecz już czas zakończyć mój list przesełając wam serdeczne uściśnienia.

(d. c. n.)

KLASZTOR

GAWĘDA

KLASZTOR

Ludwika Niemojowskiego.

Kiedym młodym był chłopcem, rzekł mi rodzic: nie ob-[cem
Dla cię winien być rygor klasztorny,
Abyś zbawion od pychy, widząc żywot ów cichy,
Stał się skromny, nabożny, pokorny.
Więc pewnego poranka, zajechała furmanka,
Pożegnałem rodzinny nasz dworek,
A stanąwszy u progu, rezydencyi sług Boga,
Zadzwoniłem, zmawiając paciorek.
Wnet przez brata Floriana, wprost do celi Gwardiana
Zawiedziono drżącego jak listek,
Zasię Gwardian rzekł do mnie: chłopcze, sprawuj się [skromnie,
Bo w skromności zdrój cnoty jest wszystek.
Fumy buta szlachecka, nie przystoją dla dziecka,
Które oblókł Bóg w szatę anioła,
Idź, a Ojce wnet wskażą, jak zmódz pychę tę wrażą,
Jak brud grzechu z czystego zmyć czoła.
Co powiecie? z początku, nieznając spraw tych wątku,
Byłem trwogą przejęty niemałą,
Ale w kilka dni potem, w pasmie życia dni złotem,
Wszystko dla mnie urokiem jaśniało.
Tak tam lubo, tak błogo, każdy kroczy cną drogą
Omijając w pielgrzymce walk znoje,
I koleją niezmienną, jasną, cichą, promienną,
Dąży skrzepion przez Bożych łask zdroje.
Gdy od rana na wieży, dzwon kościelny uderzy,
Każdy chyli ku ziemi swe skronie,
By zbudzone przy wschodzie, witać życie w przyrodzie,
I w dziękczynnéj modlitwie spleść dłonie.
Daléj wszyscy pospołem, zasiadają za stołem
Dla posiłku, a lektor z ksiąg treści,
Głosząc cnoty zasady, stawia liczne przykłady,
Ile pokus wśród życia się mieści.
Idą *seksty a nony*, gdy zaś pacierz skończony,
Gromadzą się powtórnie Ojcowie,
I reguły ćwiczenia, wedle zasad sumienia,
Rozbierają w pobożnéj rozmowie.
Takim kształtem dzień płynie, i w wszelakiéj godzinie
Praca w jeden ciąg trudów się składa;
Każdy z Ojców lub braci zgromadzeniu dług płaci,
Czyniąc co nań z kolei przypada.
Bo w tym cichym klasztorze, przy codziennych spraw to-[rze,
Dzielą Ojce swych zajęć mozoły;
Ten nowicyat fortuje, ów nad wiktem stróżuje,
Inny znów prym trzyma wśród szkoły.
Ksiądz magister przy klerze czynny udział wciąż bierze,
Definitor regułę prowadzi,
Gwardyan znowu w potrzebie, każe przywieść przed [siebie,
I na wszelką karystyą zaradzi.
A pomiędzy Ojcami, co się dzielą trudami,
Jest kanafarz dzierżący klucz w dłoni:
On od pewnych już czasów, śpiżarnianych zapasów
Od zatraty pilnuje i chroni.
Kiedy kwestarz w podwórko z pustą zjawi się furką,
Kiedy wiktu dla mnichów zabraknie,
On tak rzeczy prowadzi, tak przemyśla i radzi,
Że nikt głodu nie czuje choć łaknie.
Dla mnie wszyscy Ojcowie, w każdéj akcyi i słowie
Byli zawżdy łaskawi nad miarę,
Zasię nawet i wtedy zasłaniali od biedy,
Gdym zasłużył swą winą na karę;
Więc wyćwiczon w ten sposób, pośród grona cnych osób,
Którym obce są świata ułudy,
Pozbyłem się czczéj pychy, stałem skromny a cichy,
Ceniąc spokój, pobożność i trudy;
A dziś po lat upływie zawżdy w sercu swem żywię
Zaród cnoty zkąd źródło łask płynie,
I wiem kiedy śmierć sroga, przed tron wezwie mnie [Boga,
Stanę czystym w przedwiecznéj krainie.

SYN PUSZCZY.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

Fryderyka Halma.

Przełożony z niemieckiego

przez

Józefa Grajnerta.

(Dalszy ciąg).

AKT IV.

Okolica leśna; w głębi sceny widok na daleką Massalję i część morza, z lewéj strony, na przodzie sceny, skaliste gęstymi krzakami zarośnięte wzgórze; z którego wązka drożyna prowadzi ku środkowi sceny.

(Miron, Adrast i Elpenor wchodzą z głębi sceny).

Miron.

Hańba nam, hańba! Wilk wilkom pomaga,
Łęciny w krzaku splatają się wzajem,
By dłoń powstrzymać, co po różę sięga
Lecz to żmii gniazdo, co się z praw swych szczyci,
I z obyczajów gładkich, ta Massalja
Bezwładnie zimno patrzy na swych ziomków,
Gdy na łup idą niewoli, i głucho
Przebrzmi wołanie jéj dzieci o pomoc,
Hańba nam, hańba.

Adrast.

Lecz wiesz przecie, że tak
Chce ojców zwyczaj; gród swych mieszczan broni
O ile murów jego cień dosięga,
A ciebie tamci w górach pochwycili
Daleko.

Miron.

Tak! gród mieszczan swoich broni
O ile murów jego cień dosięga;
To znaczy w domu siedź, gdy chcesz być cały,
A nie, to sam się broń! O, mądra ustawo,
Czujności ojców!

Elpenor.

Bo obyczaj przodków
I o powszechne dobro ich troskliwość...

Miron.

Obyczaj przodków! Cóż wam z ich zwyczajów?
Dobro powszechne? Czyż dobro Mirona
Nie jest téż częścią powszechnego dobra?
Hańba wam wszystkim, hańba! Najprzód ojcu
Wyście okupu dziecka odmówili,
A gdy za serca dobrego popędem,
Co sięga dalej, niż cień waszych murów,
Poszło swą głowę za moje dać jarzmo,
Wy mi nieludzko swe cofacie dłonie,
Że wydrzeć dziecka łupiezcom nie mogę;
A wyście Grecy; wy dumni z oświaty,
Ludzie bez serca!

Elpenor

Łajesz Massalją
Może i słusznie! Lecz nas się nie tykaj,
My podzielamy twą boleść.

Adrast.

A żeśmy
Na prośby córki twéj o pomoc naszą
Opieszałymi się jéj okazali,
To, przez to, że wpierw od nas wyszukała
Ścieżkę ratunku.

Miron.

Ta, tak, ona
Kobietą z serca, a z odwagi mężem!
Wy zaś obadwaj, no, dajcie mi dłonie!
Myślicie zacnie, serca w was poczciwe;
Nie tak jak insi, nie tak jak Polidor.
Żółć we mnie wzbiera gdy pomyślę o nim,
Wszyscy me biedne dziecko opuścili,
I prośbom ojca szydnie urągali!

Elpenor.

My ci pomożem! Zgromadzimy na brzeg
Wszystkich rybaków; wprawdzie rodem oni
Z Salijskich krain, lecz przyjaźni dla nas
I nienawidzą z duszy Tektosagów!

Adrast.

Już stary Rezus obiecał nam pomoc,
Lecz Arbogasta trzeba jeszcze zjednać!

Miron.

Tak, wszak dlatego tu jesteśmy! Pójdźmy
Do tych rybaków, obgadać rzecz całą!
Przykroć to wprawdzie, że Grek, syn Massalii,
Lud barbarzyński ma do walk zaciągać
Z dzikim jak on; jednak pójdźmy! Gdybyż
Wiek nie ochronił sił mych, sambym starczył
Do wywalczenia méj córki! Lecz idźmy
Do Arbogasta.

Elpenor.

Ja tymczasem w lesie
Olszowym do drzwi Astorsa zapukam;
Wiem, on nam duszą i ciałem oddany!

Miron,

Zgoda, idź, potém przyniesiesz nam wieści,
Razem się na mchu pod dębem zejdziemy;
A teraz w drogę! Ona szybszą była,
Gdy śmiało do mnie przez puszczę dążyła!
Dalejże, daléj!

(Elpenor odchodzi na lewo w głębi sceny, Miron i Adrast na prawo przodem sceny. Po chwili zjawia się najprzód Ingomar, potem Partenia z lewéj strony na przodzie sceny, na wyniosłości skalistéj).

Ingomar.

Héj, tędy, Partenio,
Tu wiedzie droga!

Partenia.

Mnie się zdaje, że tam,

Ingomar.

Nie, tam się schodzi w ponure wąwozy,
Gdzie żyją węże, jaszczurki, a tędy
Droga na pola!

Partenia.

Nie, tu w pole droga,
Pocóż mi tam iść.

Ingomar (ująwszy ją za dłoń i zwolna przed nią schodząc, sprowadza ją ze skały).

Nie czyń tego! Pomnisz,
Jak wczoraj, chociaż próżno odradzałem,
Uparcie po swéj myśli weszłaś w bagna;
Jak nagle grunt ci z pod nóg się usuwał,
I gdybym szybko tarczy nie zdjął z siebie
I nie porzucił, wstrzymawszy cię w biegu!
Byś po niéj przeszła przez bagno, to kto wie.

Partenia.

Utonęłabym, zaprawdę!

Ingomar.

Ja z tobą
Również!

Partenia.

Wiem, tybyś był utonął ze mną!
Same nieszczęścia na twój oręż ściągam;
Twa tarcz ugrzęzła w bagnie, a dziś znowu
Nocą w tym jarze, gdzie mech i zarośla
Skąpe paliwo dawały, złamałeś
Swą włócznię, żeby z jéj ułomków dla mnie
Rozżarzyć ogień wśród nocnego chłodu!
Wierny przewodnik z ciebie!

Ingomar.

Tu, tu stąpnij!

Partenia.

Wiem, dobrze dla mnie życzysz, wybierałeś
Najlepszą drogę, tylko nie tę chyba.

Ingomar.

Tę właśnie! Bo patrz, tu się las przerzedza,
I ku równinie skłaniają się góry!

Partenia.

O, nieba, mówisz prawdę! Cienie puszczy
Leżą za nami, i zdaje się, jakbym
Znała tę ustroń. Czyż to nie tu było,
Gdzie się dla ojca rozstając z ojczyzną,
U gór podnóża padłam na kolana,
I bogów moich gorąco błagałam
O moc, odwagę i tryumf.

Ingomar.

Tutaj, mówisz?
Nie, nie, tyś w błędzie, ztąd jeszcze daleko
Do twéj ojczyzny.

Partenia.

Ach, to tutaj było!
(zwracając się ku głębi sceny)
Patrz, tam faluje morze, tam znów błyszczy
W słońcu świątynia Artemizy naszéj,
I gród Massalii i dach ojców domu!
(klękając)
I znów tu w prochu padam, błogosławię
Opatrzne bogi; wyście z wysokości
Wiodły do celu poselstwo miłości,
O, wy w progi ojców wiedźcie mię łaskawie.

Ingomar (do siebie).

O, czemuż z tarczą mą nie ległem w bagnie.

Partenia (zrywając się).

Znowu kochanych rodziców zobaczę,
Z lic ich wypiję łzy radości błogiéj,
I w ich objęciach z radości zapłaczę!
O, bądź pozdrowion grodzie ojców drogi!
Uśmiechem bogów zachód ci spromienia
Wieże, filary, wały, bram sklepienia!
Trwaj wciąż i jaśniéj, ziomków mych budowo,
Choć setne lata przemkną nad twą głową!
A ty, mówże co.

Ingomar.

Ja cóż mam powiedzieć?

Partenia.

Co, ty się dąsasz jak grymaśne dziecko,
Podczas gdy radość oskrzydla mi duszę!
Znosiłeś ze mną żar słońca w południe,
I noce mroźne, skalistych dróg trudy,
A méj radości nie dzielisz u celu?

Ingomar.

Radości! Jakiéj? Nie znam jéj, i przebóg!
Nawet nie pragnę; czegóż się mam cieszyć?
Niechaj to miasto w otchłań morza wpadnie,
Niech okręt pływa nad jego blankami,
W miejsce wież trzcina z sitowiem niech sterczy!

Partenia.

Zkądże te gniewy?

Ingomar.

U celu, mówisz. Tak,
Tyś już u celu, i masz to mię cieszyć?
Tylko tam z tobą, pod niebios sklepieniem,
Wśród borów, bagien, w głębokiém milczeniu
Znałem pociechę; tam twym światem byłem
Ja tylko jeden; szliśmy głuchą ciszą,
Puszczą daleką, niebezpieczeństw blisko,
Szliśmy przy sobie w dwojga dusz skupieniu;
A teraz waszych tam murów cień mroźny
Padł między nami i rozłącza z sobą,
Co trud zespolił, samotność związała!

Partenia.

Bynajmniéj. Jednak... dopiero, zaiste,
Teraz spostrzegam. Rozstać się musimy!

Ingomar.

Rozstać się, mówisz. Tak, musim, niestety!
To więc mi serce ścisnęło na widok
Tego tam miasta! Brakło tylko nazwy,
Już ją znalazłem! Rozstanie! O, tak jest,
Rozstać się musim, cóżbym ja tam robił
Wśród gładkich Greków, ja, dziki syn puszczy,
Zamknięty w murach, ja, dziecko wolności?
Rozstać się musim! Jeszcze uścisk, jedno
Spojrzenie! i ot, ścieżka twa tam, naprzód,
A moja nazad powiedzie mię w góry;
Kroki twe przebrzmią, i wszystko przeminie,
Obym cię nigdy nie był znał, kobieto.

Partenia.

Obym i ja cię, obym... Bywaj zdrowy;
Tak się stać musi.

Ingomar.

Musi! A gdybym też
W silne cię ramię pochwycił, jak jastrząb
Chwyta gołębia, i uniósł. Nie, to już
Przeszło, co było! Cóżby mi ztąd przyszło,
Gdybym cię posiadł, a miłości nie miał?
Wszak kochasz tylko takie wierne serce,
Co przez lękliwe a czułe starania
Wpół cię zwycięża, wpół się w moc twą skłania,
Chcesz być wiedzioną, noszoną, wspieraną!
A jam co czynił? Czym cię nie wiódł wiernie?
Czym cię nie nosił przez rwące potoki?
A gdy już wieczór zapadał głęboki
Nieciłem ogień, dopóki znużona,
We snu cichego nie padłaś ramiona;
Jam siadł na straży ponad marzeniami,
Co kwitły jasno u twych ust różami!
Mów, czy nie byłem przewodnikiem wiernym?

Partenia.

W oczach mi ciemno!
(podając dłoń Ingomarowi).
Tak, ty byłeś wiernym
Mym przewodnikiem!

Ingomar.

Więc słowam dotrzymał!
Toż i ty mojéj nie zawiedź ufności!
Precz już z rozstaniem! Zostań i bądź moją!
Jednym z najlepszych w mym jestem narodzie,
A w domu zdobycz w namiocie mam hojną!
Nie bój się obcych zwyczajów naporu,
Wolna jako ja, z ojców nawyknieniem
Będziesz rządziła mym domem i mieniem,
Będziesz potężna słowem i rozkazem!
Wróć ze mną! Chatę zbuduję, gdzie razem
Żyjąc pod dębów cienistem sklepieniem,
Zwiańczę ją łąką, osrebrzę strumieniem,
Wokół zieloność, a powietrze boru
Przez drzwi otwarte z brzaskami jutrzenki,
Przez drzwi i wrota, z cieniami wieczoru
Wnikać w nią będzie! Pójdź, pójdź! Rzeknij słowo!
Bądź moją, chata wnet będzie gotową!

Partenia (odwróciwszy się do siebie).

Biada mi! Ucho me słów jego słodycz
Ssie niby miód.

Ingomar.

Co w dół spuszczasz oczy?
Milczysz! Nie ufasz? O, klnę się na niebo,
Że mówię prawdę! Będę cię tak lekkim
Trzymał uściskiem, dotknięciem tak czułém,
Jak dłoń twa trzyma wianek, gdy go zwija;
Z ócz twych wyczytam najskrytsze życzenie,
Odgadnę myśli; codzień ci dostawię
Miłą sarenkę, spasłego jelenia;
Co pletwą rusza w rzece, i co porze
Wiatry skrzydłami, z tego dań ci złożę!
Do brzegów naszych statek nie zawinie,
By ci nie złożył cła w towarach swoich,
Będziesz bogata, czczona i wspaniała!
Co tylko w mocy ludzkiéj, będziesz miała,
Bądź tylko moją, nie mów o rozstaniu!

Partenia (głęboko wzruszona).

Nie, nie! Już odejdź! Stłum swój śpiew syreni!

Ingomar.

Nie chcesz?

Partenia (stanowczo).

Słuchaj!

Ingomar.

Nie wierzysz mi wcale.

Partenia.

Słuchaj mnie, mówię! Jam dobra dla ciebie,
Lepsza, niż sądzisz, niż się spodziewałeś,
Lecz o tem bogi i ja tylko wiemy.
Dosyć! Wiedz o tem, że my tam dziewczęta,
Choć wolny wybór mamy, czcimy święcie
Rodziców radę, obok żądz sercowych,
A wiem, rodzice moi...

Ingomar.

Tu ich nie ma.

Partenia.

Ich obraz tu jest, i tu głos ich żyje;
Jakto, on mówi, ledwieś uszła jarzma
Niewoli z bogów łaski, jużbyś chciała
Iść z cudzoziemcem, rzucić ojców progi,
I te ojczyste obyczaje słodkie,
Zostać małżonką wroga, zcudzoziemczéć
Jak on, być żoną...

Ingomar.

Czemuż nie domówisz?
Mów, dokończ wszystko! Żoną barbarzyńcy!
Wszak nas tak zwiecie, i ty nas tak zowiesz!

Partenia.

Ja sądzę, żeś ty szlachetny i dobry,
Gwiazda błyszcząca, lecz chmurą przyćmiona,
Dzban szlachetnego wina, tylko brak mu
Wieńca, i gdyby, jak powłoka muszli
Zamyka perły blask, nie krył ci serca
Klejnotów szorstki obyczaj ojczysty,
Zaiste, mógłbyś dumą być twéj żony;
Przed twą wartością nienawiść by zgłuchła,
Nawet oszczerstwo, choćby ofiar chciało,
Oto mąż! w złości szepnąćby musiało.
Takby szeptało, lecz gdybyś był Grekiem,
Gdybyś był świadom prawa i porządku,
Gdyby pięść bogiem, miecz nie był twym sędzią!
Ale że tak jest...

Ingomar.

Więc idź precz! Wróć w bory.
Nic nie ukrywaj, wypróżń kołczan cały!

Partenia.

Nierówno łaska bogów ludzi darzy;
Tym sypie skarby, inszym nędzę zsyła,
Lecz miłość wyższa nad to, nad powaby
Zdobiące jednych, gdy łakną ich drudzy;
Lecz jedna rzecz jest w każdym, komu serca
Bicie z marzeniem duszy wraz się schodzi,
Rzecz boska, która nam wśród burz jak gwiazda
Świeci, a tą jest prawo, tą jest zwyczaj;
Tak, wspólne prawo, wspólny, święty zwyczaj

To, co się kocha, musi związać, żeby
Wynikł szacunek, a trwałość zwieńczyła
Żary młodości. Tak, zaiste! Otchłań
Dzieli nas, a jéj nie zapełnią góry,
Jam jest Greczynką, a ty Tektosagiem.

Ingomar.

Jestem Tektosag! Wypowiedz myśl całą,
Żem złodziéj bydła pustoszyciel krajów,
Rabuś...

Partenia.

Ingomar!

Ingomar.

Sądzisz tak, jak rzekłem!
Myśl twą rozumiem! Tak sądzisz, jak mówię;
Ty się mnie wstydzisz! Dość już, nadto! Żegnaj!
Rozstać się musim, rzekłaś, prawdęś rzekła,
Tak ma być, niech tak będzie.

Partenia.

I chcesz w gniewie
Rozstać się! Zostań, nie puszczę cię, musisz
Wpierw mię posłuchać.

Ingomar.

Nie chcę cię już słuchać;
Słuch mój przepełnion goryczą słów twoich!
Lecz się nie gniewam! Mówisz, jak tam mówią;
Ja w głębi serca znajduję otuchę,
My także męże, chociaż barbarzyńcy.
Wy tam układni chełpcie się z ogłady,
Po nad ogładę szczery duch się wzniesie
Wyżéj, choćby wzrósł dziko, jak dąb w lesie!
Zważ to i wspomnij o mnie, i, już dosyć,
Bądź zdrowa. (zwraca się ku wyjściu).

Partenia.

Żegnasz! Nie, stój! Przed rozstaniem
Otrzymasz dar mój, który barw i życia
Doda zaczasem obrazowi memu.

Ingomar,

Darów nie pragnę!

Partenia (podając mu sztylet).

Przyjmij!

Ingomar,

Sztylet. Ha, wstyd, hańba!
To ma pamiątką być, że mój szał niegdyś
Własną twą rękę na ciebie uzbroił!

Partenia.

On ci przypomni, żeśmy szli borami
Trzy dni, trzy noce, wśród gęstwin, i sami,
Żeś mię wiódł wiernie, bo nie zagrożona
Nigdym do jego nie sięgnęła trzona;
To ci ten sztylet wspomni, a teraz, idź!

Ingomar (kroczy szybko ku Partenii, potem nagle się zatrzymawszy po chwili).

Bądź zdrowa!

(odchodzi śpiesznie na lewo, przodem sceny).

Partenia.

Odszedł! Bogi wszechmogące!
A jednak mógłby. Dobrze, niechaj idzie,
Gdy mógł to przenieść, i ja też znieść mogę!
Lecz, gdy kazałam mu iść? Czyż nie musiał?
Musiał, to słowo brzmi jak echo grobów!
Odszedł! Jak dotąd było jasno; teraz...
Jak mglisto, mrocznie błyszczy światło słońca,
Spłowiały trawy, liście zwiędły wkoło!
Zda się, że młoda wiosna zmarła nagle!
Co, łzy? Nie, płakać nie chcę! Tak być musi,
A to, czém dusza ma dzisiaj wzruszona,
Wy tam Niebiescy przytulcie do łona,
I na zbawienie mi obrócić raczcie!
Wszak, dobre bogi, dałyście mi tyle!
Tam mnie ojczyzna; rodzice zwą zdala,
Znajdę znów lube drużki; brytan wierny
Skomląc, przyskoczy do mnie, i powita
Szydny Polidor, mój bogaty zbawca!
Zimno mnie trzęsie na samą myśl o nim!
Jak urągliwie zbył me prośby, które
Jednak wzruszyły tego Syna Puszczy!
Ten, gdybym tylko rzekła: Pomóż, ratuj
Tę siwą głowę, ten, zaprzysiądz mogę,
Rzeźko, bez zwłoki puściłby się w drogę,
I choćby wojska groźne go spotkały,
Byłby im ojca wyrwał, do dom przywiódł.
O: jak bór jego, w tym dzikim duch jary!

Ingomar (na lewo z przodu sceny ociągając się i powoli wchodząc napowrót).

Partenio!

Partenia (z wykrzykiem).

Ty tu. Wracasz?

Ingomar.

Tak i szczerze
Wyznam, że rozstać nie mogę się z tobą,
Nie mogę, mówię, nie mogę, nikt z ludzi
Więcéj nie może zdziałać, niż jest w stanie;
Reszta jest sprawą tylko losu, a mnie
Mój los rozkazał: do ciebie należéć!

Partenia.

Co? chciałbyś do nas.

Ingomar.

Słuchaj, jam cię odgadł!
Nie ja cię wstydzę, lecz me obyczaje;
Bo chociem nie Grek, jestem mężem przecie,
A mąż popłacać musi wszędy w świecie;
Nawet u bogów mąż prawy ma wartość,
Toż i u ciebie i wszystkich tam twoich;
Tak, nie inaczéj! Nie prawda, Partenio,
Ja cię nie wstydzę?

Partenia.

Ty mnie masz wstydzić?

Ingomar.

Mnie się tak zdało, więc oślep on złudą,
Zuchwalem plecy odwrócił od ciebie,
Jakbym żyć nie mógł bez naszych zwyczajów,
A które właśnie o tyle wygodne,
O ile skóra ta, bo się z nią zżyłem.
A czyż tam w bagno tarczy nie rzuciłem,
Czyż tam nie leży i złamana dzida,
Więc na cóż mi się skóra zwierza przyda?

Partenia.

Co mówisz. Jakto.

(do siebie)

Ach, ledwie oddycham!

Ingomar.

Duch czyni męże, lecz nie szata jego,
A gdy za ciężka, to i cóż mi znaczy?
W nowéj bić serce nie będzie inaczéj!
Zrzucę mą skórę, z nią zwyczaje stare,
Pójdę wraz z tobą w twego miasta mury,
Chcę zostać Grekiem.

Partenia.

Ty pójdziesz ze mną!

(do siebie).

Tyle rozkoszy piersi nie pomieszczą!

Ingomar,

I patrz, mnie teraz błogo z tym zamiarem;
Wiem, że mam nabyć jeszcze bardzo wiele,
Wiele się uczyć, lecz promień słoneczny,
Co mnie pociesza, naukę rozświeci;
Czuję, że ty mnie kochasz! Krzyk tryumfu,
Odgłosy boże w piersiach mi zadrgnęły,
Kochasz mnie, będziesz musiała mnie kochać!

Partenia.

Na niebo, kogoż kochać jak nie jego!

(głośno)

Mówisz, że pójdzież ze mną do Massalii.
Maszże przyjaciół, co cię przyjmą w gości?

Ingomar.

Przyjaciół! Żadnych! I na co? Pierwszego,
Kto mi się w drodze nawinie, zapytam
O sól i ogień, jak tam od tych ludzi,
Boć to poczesne w Grecyi.

Partenia,

Jakich ludzi!
Przedwieczne bogi! Naraz wszystko szczęście
Zlewacie na mnie w téj jednéj godzinie,
Cóż się na resztę żywota zostanie?
To on, on idzie!

(padając w ramiona Mironowi, nadchodzącemu w towarzystwie Elpenora)

Mój ojcze!

Miron,

Me dziecko!
Kochana! Żyjesz! znów mi powrócona!
Dzięki wam, bogi! Nie, za cóż dziękuję
Czemuście zbawcą jéj nie mnie zrobiły?
Ja sambym wszystkich tych rabusiów na proch.

(spostrzegłszy Ingomara i trwożnie się cofnąwszy)

Toż co? Ten! Adrast, Elpenor. Na pomoc!
Tu Tektosagi.

Partenia.

Uspokój się ojcze!
To on, Ingomar, co dziecku twojemu
Wolność darował, co mnie do ojczyzny
Aż do twych objęć przywiódł, strzegł, ochraniał!

Miron.

On? powiedziałaś, on! Sam jeden przyszedł.

Partenia.

Jako przyjaciel przychodzi do ciebie
Z prośbą, a żądać jéj skutku ma prawo,
I jeszcze o twą wdzięczność się przymawiam,
I o łaskawość, jaką dla mnie świadczył.
Więc go wysłuchaj, a ty Elpenorze,
Mów mi o matce, mów mi o Teanie,
O przyjaciołach; daj mi wszystko wiedziéć,
Bo wieść najskąpsza tęskniącym jest drogą.

Miron (który tymczasem przyprowadzony przez Partenią zbliża się do Ingomara, do siebie).

Sam przyszedł, więc to co innego! Hejże,
Bądź pozdrowiony na Massalskiéj ziemi!
Tak prędko znów cię ujrzeć nie myślałem.

Ingomar,

Jak i ja ciebie, przecież tak się stało!

Miron,

Tak jest, co prawda!

Ingomar.

Rzekła ci Partenia,
Żem przyszedł ciebie prosić, w saméj rzeczy,
W niewielu słowach żądam wiele. Zostań
Mi druhem, więcej, bądź mym mistrzem; dłoń swą
Przewodnią daj mi, jak uczniowi twemu;
Daj mi schronienie pod swym dachem, naucz
Waszych zwyczajów, naucz jak być Grekiem
Między Grekami! O to wszystko proszę,
A ty spełń prośbę.

Miron.

Co mówisz? Ja miałbym,
Ja w dom mój przyjąć ciebie.

Ingomar.

Mnie on świętym,
Ojczyzną będzie!

Miron.

Jak, ojczyzną jego!
Nic więcéj nad to nie chce. Obyczajów
Greckich się uczyć pragniesz, i ode mnie?
W głowę zachodzę! (do siebie)

Chłopak wprawdzie krzepki,
Byłby czeladnik tęgi. *(d. c. n.)*

Korespondencya.

Karol Miarka, dyrektor „Zarządu Górno-Szląskiego Towarzystwa włościan,“ oraz Komitetu głodowego na Szląsku, przesład do pism tutejszych następującą odezwę:

„*Szanowni Rodacy!*

Wiadomość, że gazety warszawskie poruszyły myśl o zbieraniu ofiar dla nieszczęśliwych Górno-Szlązaków, czytaliśmy łzawem okiem. Opisać nie mogę wrażenia, jakie ta wiadomość wywołała w całym Górno-Szląsku.

Zaprawdę, okropna na Górnym Szląsku panuje nędza, wylewy rzek zniszczyły wszelką nadzieję żniw; nieustanne deszcze na wiosnę i podczas lata zepsuły zboże i jarzyny, w niektórych okolicach nisko położonych, ziemniaki zgniły zupełnie, że ich nawet nie dobywano z ziemi, klęska tem dokuczliwsza, ponieważ lud nasz żywi się przeważnie ziemniakami i kapustą która się także nie udała.

Stagnacya w handlu i przemyśle, brak odbytu żelaza i węgla i z téjże przyczyny brak zarobku, pomnażają biedę, grożąc głodową śmiercią ubogiemu ludowi, wszystkim zaś warstwom zaraźliwemi chorobami, które w latach 1846—1849 trzecią część mieszkańców umorzyły na Górnym Szląsku.

Jeżeli kiedy i gdziebądź pomoc była potrzebną, to zapewne dziś dla Górnego Szląska.

Bracia! ratujcie rodaków, którzy za każdą pomoc czy w pieniądzach, czy w odzieży, czy w zbożu, mące, lub innéj żywności, wdzięcznie się modlić będą za łaskawych dobrodziejów, tém więcéj, że to pomoc od rodaków.

Bóg łaskawy, który nagradza i kubek wody podany pragnącemu, zapewne i wam zapłaci hojnem błogosławieństwem.

Upraszamy wszystkie pisma polskie o łaskawe umieszczenie niniejszéj odezwy.

Dyrektor „Zarządu Górno-Szląskiego Towarzystwa Włościan,“ oraz Komitetu głodowego dla Górno-Szlązaków.

Karol Miarka.“

* * *

Mamy nakoniec prawdziwe wiadomości o klęsce na Szląsku. Wychudłe ręce naszych zakordonowych braci wyciągają się do nas o pomoc. Dotąd daliśmy im tylko słowa współczucia. Że dotąd nie posypały się hojne ofiary z całego obszaru kraju, to temu tylko przypisać należy, iż nie otrzymaliśmy pozwolenia odpowiedniéj władzy do otwarcia składek. Mamy jednak nadzieję, że je otrzymamy.

Zagadka natury.

NOWELLA

Ernesta Eksteina.

„Po pięciu latach rozłączenia, witam cię znów, Berlinie, dumna perło piasków Brandenburskich! Jakżeś się wiele odmienił od czasu, gdym cię żegnał po raz ostatni rozmażony i smutny. W prawo i w lewo rozszerzyłeś się, podobien do biblijnego ziarna gorczycznego. Włożyłeś na czoło cesarską koronę i schwyciłeś za berło wszech Niemiec. Niegdyś poprzestawałeś na siedmiu przybytkach muz, teraz głośne na świat cały budy twoje drewniane liczą się na tuziny. Nawet skromny symbol twojéj młodości poczciwa gazeta Volsa, zdarła dziecinne trzewiki swojego małego jak elementarz, formatu, dziś w wielkiego formatu koturnach poważnie kroczy przez krużganki stulecia i zwiastuje w swych nowoniemieckich artykułach wstępnych o nieprzepartym zwrocie wszech rzeczy... Zrobiłeś karyerę, Berlinie, a ja?... Ba, nie chcę psuć sobie pięknego poranku wiosennego nieprzyjemnemi uwagami! Zresztą na co się przyda to wieczne niezadowolenie? Jeszcze przed pięciu laty nazwała mnie Klarcia hypokondrykiem, i Bóg to wie, czy oddawna nie mam zbytecznéj żyłki do mizantropii. Czemu nie raduje mnie wonna zieloność drzew, bezchmurny błękit nieba i wesołe twarze postrojonych spacerujących ludzi? Czemu nie używam jak tysiące innych, lecz zaraz badam przeszłość i o przyszłość pytam? A i na czemże mi zbywa? Za prawdę, Klarcia ma słuszność, jestem głupiec i niewdzięcznik!

Czy ona też poszła za mąż? Miała lat szesnaście, i była piękna jak anioł... Nie ma wątpliwości, oddawna zapewne zmieniła dom rodzicielski na własne ognisko. Widzę ją w myśli jako panią sekretarzową poczty... Wszak ten chuderlawy młodzieniec z przeciwka nie żartem w niéj był zakochany... Ale nie, cierpieć go nie mogła... chyba z wyrachowania... Nie, nie, prawdziwie jestem niesprawiedliwy względem niéj! Ona i sekretarz? ależ to rymuje z sobą jak dzień i noc, lato i zima. Przecież znam psychologią. Prędzéjby już wzięła rentiera z Bel-Etage, który niegdyś ofiarował jéj olbrzymi bukiet i wcale niedwuznacznie okazywał zapał swych uczuć...“

Ot, jak monologowałem sobie na porannéj przechadzce, którą odbywałem bez celu po berlińskim zwierzyńcu... Byłem jakoś nieswój... dla czego? sam nie wiedziałem, a niemożliwość logicznego wyjaśnienia bynajmniéj nie przyczyniła się do polepszenia humoru. Wreszcie wspomnienie o Klarce nadało inny kierunek moim myślom. Miłe dziewczę była córką zacnego białoskórnika, u którego mieszkałem podczas ostatniego półrocza moich studyów uniwersyteckich. Czułem dla niéj pewien rodzaj braterskiego przywiązania, które wcale się nie oziębiło pomimo pięcioletniego rozłączenia. Wprawdzie listów do siebie nie pisywaliśmy, i to z mojéj winy, wprawdzie zadrzemała nasza poetyczna miłość siostrzana, jak żar w popiele; lecz znów pod wpływem dawnego, dobrze znanego otoczenia zbudziła się z taką żywością, iż postanowiłem położyć koniec wszelkim wątpliwościom, i dziś jeszcze odwiedzić pana Fryderyka Lachman, białoskórnika przy Belle-Alance N. **.

Tymczasem zaszedłem pod wielką gwiazdę i zwróciłem się ku bramie, aby w restauracyi *pod lipami* zjeść śniadanie. Miejsce uprzedniego niesmaku i niezadowolenia zajął wyborny apetyt i ta nie wyjaśniona błogość, która nas ogarnia, skoro tylko uczynimy jakie postanowienie, choćby najmniejsze. Szybciej i elastyczniej, niż wprzód, przeszedłem przez łuk tryumfalny uwieńczony na wierzchu zwycięztwem, i miałem właśnie zejść na chodnik po prawej stronie, gdy niespodziewany widok, jak gwoździami, przykuł mnie do ziemi. Trzy albo cztery sekundy stałem nieporuszony, nie mogąc przemówić słowa. Wreszcie zawołałem niepéwnym głosem:

— Teodorze! To niepodobna! Tyżeś to?

Blada o zapadłej twarzy postać, uśmiechając się nieznacznie wyciągnęła do mnie drżącą rękę.

— Zdaje się, iż arcy przyjemne zrobiłem na tobie wrażenie, rzekł tonem szyderczym, jak się masz?

— Ciebie się również o to zapytuję, kochany Teodorze. Cóż mam przed tobą ukrywać. Nędznie wyglądasz, bardzo nędznie. Czyś chory, co się z tobą stało? mówże przecie.

Mówiąc to, dokładniéj jeszcze przypatrzyłem się młodzieńcowi. Przedstawiał on straszny obraz niesłychanego spustoszenia. Przerażająco chudy, słaniający się, zgarbiony, twarz pokryta trupią bladością: ot, jak mi się przedstawił niegdyś kwitnący młodością i zdrowiem dawny towarzysz figlów studenckich, najzawołańszy bursz wyższéj szkoły w Bonn, ulubieniec wszystkich serc niewieścich... począwszy od hrabiny i poetycznie wykształconéj córki profesora, aż do kelnerki o okrągłem i rumianem licu... Jakaż okropna przemiana! Gdzież się podział zapał tych pełnych życia oczu, które zdawały się rzucać iskry przy pieniącym się kielichu? Otoczone sinemi obwódkami, zaklęsłe w głębokich jamach, były zamglone, matowe; białka ich pożółkły, powieki utraciły zdolność odsłaniania połowy źrenicy. Ach! i głos! aż zadrżałem na ten chrapliwy i bezsilny organ, który niegdyś tak uroczo wstrząsał nasze dusze! „Goudeamus igitur!..“ To był jego śpiew ulubiony! Jeszcze dotąd tkwi mi w uchu jego przepyszny bas... a teraz?

— Czyś ty chory? zapytałem.

Chociaż po prawdzie pytanie to było zbyteczne, bo każdy rys tych ruin tysiączną dawał odpowiedź. A jednak miałem jakieś instynktowe przekonanie, że tu nie idzie o zwyczajną chorobę... Być może iż ten stan nieszczęśliwy był tylko skutkiem patologicznej rewolucyi, być może znajdował się on w stadium przechodniem.

— Chory? odrzekł po chwili. Tak i nie, jak chcesz. Albo lepiéj, nie! Nie jestem chory, owszem zdrowszy jak wy wszyscy... przynajmniéj co się dotycze stanu méj duszy.

Przeraziłem się. Straszna myśl, że Teodor cierpi może na jakie zboczenie umysłowe, nagle mi przebiegło po mózgu.

Przeniknął mnie.

— Nie tak znów źle, rzekł z uśmiechem. Moja mowa wydaje ci się dziwną, ale mylisz się, jeźli powątpiewasz o moim rozumie. Przeciwnie, śmiało utrzymuję, żem nigdy jaśniéj nie sądził o rzeczach ziemskich, jak teraz...

— Ale cóż ci jest? rzekłem smutnie. Pobladłeś, drżysz.

— To przygrywka.. introdukcya...

Dziko się zaśmiał, iż dreszcz mnie zimny przeniknął.

— Radziłeś się jakiego lekarza? mówiłem dalej, nie zważając na jego nierozsądną uwagę.

— Lekarza? a w jakim celu?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

— Nie chcesz mnie objaśnić, rzekłem wzruszając ramionami. Daruj, żem ci sprawił przykrość. Miałem najlepsze zamiary.

— Bardzo temu wierzę. Ale daję ci słowo na to iż nie potrzebuję lekarza; czuję się bardzo dobrze.. to jest, chwilowo...

Przesunął ręką po czole, potem konwulsyjnie schwycił mnie za rękę.

— Chodź, rzekł po chwili, ciężko odetchnąwszy. Spocznijmy tam na ławce przez kilka minut.

Usiedliśmy.

— Cóż ci to było? zapytałem, wahając.

— Zawrót głowy.

— A utrzymujesz, żeś zdrów?

— No, tak. To tylko chwilowe, gdy się tu włóczę pomiędzy tą ludzką zgrają.. Kiedy zaś żyć zaczynam, wtedy same przez się ustają te drobne przypadłości...

— Kiedy zaczynasz żyć? Jak mam 'to rozumiéć? Mówisz same zagadki.

Nie odpowiedział mi.

— Od jak dawna przebywasz w Berlinie? zacząłem po niejakiéj pauzie.

— Od czterech miesięcy.

— I czem się tu zajmujesz?

— Niczem.

— Czy twój stan... nie pozwala ci na żadną pracę?

— To nic... Albo raczéj, tak; mój stan nie pozwala mi, abym czemkolwiek się zajmował.

— Znajdujesz, widzę, upodobanie w sprzecznościach.

— Trzymam się ściśle twoich pytań.

— Pytam więc bardzo niejasno?

— W samej rzeczy.

— Jesteś otwartym.

— Mój stan! co nazywasz stanem? Co do ciała, mógłbym żyć daléj według dawnego trybu, i poświęcić królewskim sądom moją drogocenną wiedzę. Moje obecne rozdrażnienie, względnie zaś pognębienie, datuje się dopiero od kilku tygodni...

Umilkł.

— Rozumiem. Zabrakło ci ochoty, zamiłowania...

— Nie podobna mi było dłużéj komedyi odgrywać. Wreszcie przychodzi się do rozumu.

— Nazywasz to przyjściem do rozumu? Tak więc powołanie twoje stało ci się zupełnie wstrętném?

— Zupełnie.

— Żałuję cię. Ale mniejsza... Masz majątek jesteś niezależny.

— Dzięki Bogu, po długiéj niewoli.

— Byłeś nim od dawna.

— Jestem nim dopiero od kilku miesięcy. Aż dotąd gnuśniałem pod jarzmem najpospolitszych illuzyi.

— Dziwny z ciebie człowiek.

— Wierzę ci bardzo, że mnie na wpół ledwie pojmujesz.

— Czy chcesz drażnić moją ciekawość?

— Z pewnością, że nie.

— A więc mów po prostu, bez żadnych ogródek. Albo lepiéj gawędźmy sobie o pogodzie.

— Byłoby to godnem niemieckiego obywatela. Ale, nie, życie ludzkie i bez tych płaskości, jest dosyć jałowe.

— Co rozumiesz przez owe illuzye, których jarzmo zrzuciłeś?

— No... wasze frazesa o życia celu... o obowiązkach względem społeczeństwa, względem samego siebie, krótko węzłowato, cała ta gadanina, którą moralnością zowiecie.

— Ależ na Boga, cóż to może mieć za związek z twoją jurisprudencyą? Teoretycznie jesteśmy wszyscy, mniéj lub więcéj nihilistami.

— Ja jestem nim praktycznie.

— A to jak?

— W sposób bardzo prosty. Zerwałem z życiem i jego spłowiałemi nędzotami. Znoszę byt, jako inntermezzo. Moje prawdziwe życie zaczyna się dopiero wieczorem, po zachodzie słońca. Wtedy znajduję urzeczywistnienie wszystkich swych marzeń, za któremi wasze optymistyczne półgłówki na próżno wzdychają. Wtedy podnosi się szara zasłona, która z roku na rok mgłą otacza duszę biednym pospolitym istotom. Wtedy otwiera się przede mną świat nowy, pełen blasku i woni, którego wspaniałość nie okupuje się dość drogo samą nawet ofiarą zburzonego systemu nerwowego. Tym sposobem unikam przynajmniéj na czas pewien wszystkich próżnych niedorzeczności, które was krępują, a kiedy wreszcie wybije godzina znicestwienia, mogę sobie powiedzieć: używałem! Przepaść ziejącą dymem trującym, usłałem sobie różami, wśród stu tysięcy głupców byłem mędrcem.

Umilkł. Oczy jego połyskiwały, jak zarzące się węgle, gdy wionie na nie cug świeżego powietrza. Potem znów przygasły w matowéj, sennéj apatyi.

— Malujesz mi swoje Eleuzyńskie mysterye bardzo ponętnie, rzekłem po chwili. W saméj rzeczy, gdyby był środek ciągłego łudzenia się, co do próżności rzeczy ziemskich...

Nie skończyłem. Wzrok mój mimowolnie padł na tę roztrzęsioną, bladą postać... zadrżałem. Nie za taką cenę, nawet Letejskiéj wody potoki wypadłyby za drogo... Niechże mnie niebo ustrzeże!

— Gdyby był środek! powtórzył, i wymuszony uśmiech zawitał na jego wązkich bezkrwistych ustach. Przysięgam ci, że moje panaceum jest niezawodne.

Na te jego słowa schwyciło mnie jakieś straszne przeczucie. Milcząc, spuściłem wzrok ku ziemi. On mówił daléj:

— Gdy, jak ja, dojdziesz do tego rezultatu, że zbywa na dowcipie komedyi rozgrywającéj się od kolebki do grobu, gdy tak, jak mnie przestaną bawić pospolite kuglarstwa...

Westchnąłem.

— Zdaje się, mówił tonem nie dającego się opisać gniewu, zdaje się, że uderzam w pokrewne struny. Któż to może odmienić? Nie jest to wcale koncept jakiś chłopięcy, jakiś spleen sztuczny, któryby nas podawał jako mniemanych geniuszów, i teatralnie udrapowanych wystawiał na pokazanie ludowi. Po sto razy zazdrościłem prostemu wyrobnikowi, który w pocie czoła rozwala kamienie lub piłuje drzewo, i uważa się za szczęśliwego gdy młoda żona po całodziennym trudzie zastawi mu skromną wieczerzę. Po tysiąc razy pragnąłem mieniać się na losy z jakim parobkiem, któremu zagadki natury nie porywają ani jednéj chwili spokojnéj, dla którego być albo nie być koncentruje się w szklance piwa, lub potężnym gorsie kcelnerki. Za prawdę, to nie zależy ode mnie, jeźli nie mogę zachwycać się widokiem zachodzącego słońca, lub znaleźć dziewczynę piękną, młodziuchną, godną pożądania. Jestem blasé, w najstraszniejszem znaczeniu tego wyrazu. Świat realny dla mnie nie posiada w sobie absolutnie nic takiego, coby mnie chociaż na chwilę mogło uradować. Wszystko, wszystko mnie nudzi, myślenie nawet sprawia mi przykrość, gdyż najśmielsze jego poloty, najprędzéj gubią się w tych przeklętych manowcach, które nieuniknionem stały się naszem dziedzictwem od czasu jak spotniałe czaszki ludzkie badać zaczęły. Jedném słowem, zdaje mi się, że jestem więźniem rzuconym do lochu ziejącego zgnilizną, zbrodniarzem skazanym na szafot, który tylko czeka na topór swojego kata. Ani na chwilę nie porzuca mnie ta nędza, dopóki siłą nie zrzucę z siebie téj klątwy, i jakby przez magią dobréj bogini nie wejdę do raju... Smutno tylko, że po każdym takim śnie straszne następuje przebudzenie. Lecz mniejsza o to, lepsze zdwojone cierpienia a potrojona błogość, niżeli ta jednostajna, niedołężna wegetacya, którą wy życiem nazywacie.

Z coraz bardziéj wzrastającem zdziwieniem słuchałem jego mowy. Zatrzymał się, jakby dla tchu nabrania. Nie odrzekłem mu ani słówka. Prawie szepcząc mówił daléj:

— Jeśli czujesz i myślisz, jak ja... to okaż się mężem i poweźmij śmiałe postanowienie.. Czy chcesz?

— Mów, odrzekłem wymijająco.

— Zostań członkiem naszego tajemnego towarzystwa.

— Jakiego tajemnego towarzystwa?

— Nazywamy się „Przyjaciołmi śmierci." Pobladłeś. Wiem, żeś i ty dojrzał do naszego klasycznego związku. No daj mi rękę, kolego.

— „Przyjaciele śmierci" powtórzyłem mechanicznie, osobliwsza korporacya.

— Być może, że jéj nazwa nie dosyć trafnie wybrana... „Pogardzający życiem" byłaby może do kładniejszą, ale moi panowie współ towarzysze uznali to wyrażenie za zbyt płaskie; pragnęli jakiegoś tajemniczego, strasznego. A przytem i śmierć odgrywa ważną rolę w naszych statutach.

(*d. c. n.*)

Kronika Paryzka.

Ubóstwienie kobiet. August Comte. Religia humanitarna pozytywistów.

Po większéj części umysł ludzki znajduje właściwą drogę postępowania nie inaczej, jak po przebyciu dwóch, wprost sobie przeciwnych ostateczności.

Wychodząc z tego punktu zapatrywania, możnaby przewidywać w niedalekiéj przyszłości zupełne równouprawnienie kobiet. Aż do wieku XVIII włącznie, tak filozofowie jakoteż prawodawcy różnych krajów, utrzymywali kobietę w pewnem poniżeniu moralnem, i w koniecznéj z tego względu zależności.

Kobieta przy niezaprzeczonéj nieraz wyższości duchowéj uważaną była za nieletnią, potrzebowała męża zezwolenia w najdrobniejszych czynnościach swego żywota, i dopiero wdowieństwo nadawało jéj prawo dowolnego kierowania swemi losami. Wiek XIX nazwany przez Wiktora Hugo wiekiem proroków, uwydatnia nowy zupełnie zwrot w tych wyobrażeniach. Na zasadzie jednak przywiedzionego prawa o ostatecznościach po dawnem poniżaniu nastąpiło ubóstwianie, nie zadowolniono się stawieniem na równi kobiety z mężczyzną, ale wyniesiono ją po nad wszelkie twory ziemskie, nadając jéj stanowisko kapłanki, pośredniczącéj między człowiekiem a światem niewidzialnym.

Zwrot podobny można dostrzedz w pracach niektórych filozofów francuzkich. August Comte, Michelet, Toussenel i inni, wychodząc z różnych punktów zapatrywania doszli do jednostajnych wyników stawiających kobietę bez porównania wyżéj mężczyzny, z nadaniem jéj przymiotów prawdziwego bożyszcza. Kiedy jedni wypowiadają z powagą: cześć oddawana kobietom jest poprzednikiem prawdziwéj religii ludzkości; drudzy znów zostając w pewnym zachwycie zmysłowym głoszą: kobieta jest najmilszym przedstawicielem ludzkości, miłość zaś jest najwznioślejszą, najwięcéj zrozumiałą i najbardziéj upowszechnioną drogą, wiodącą do poznania nowéj religii. Jednem słowem, kobieta stawioną została na nieznanym dotychczas piedestale wielkości, którego nic potrafi osięgnąć mężczyzna obdarzony największym nawet geniuszem.

Autorem opisanego wzrotu w wyobrażeniach a zarazem twórcą nowej religii nazywanéj humanitarną, jest August Comte, patryarcha wszystkich mniemanych pozytywistów tegoczesnych, a tem samem i pozytywistów warszawskich. Uczniowie jednak z wielu względów okazali się niewdzięcznymi dla swego mistrza. Przyjąwszy główne podstawy filozofii, i płynące z takowych następstwa polityczne i społeczne, odrzucili koronę będącą uwieńczeniem całego dzieła, jednem słowem odrzucili religią pozytywną; będącą ciekawem zjawiskiem zupełnéj bezreligijności. Jednostronność zachowywana przez wyznawców nowego proroka, rozwijających niektóre tylko zasady przez niego wskazane, z pominięciem części najważniejszej, może wprowadzić w błąd czytelników polskich, tając przed ich oczami cel ostateczny. W tym stanie rzeczy zarys

choć ogólny konieczuych następstw pozytywizmu nie będzie bez pożytku. Często bardzo zasady same przez się uważane za dobre i pożyteczne, w zastosowaniu dopiero uwydatniają swoją szkodliwość.

Bagna amerykańskie pokryte są pyszną zielenią, wzywającą podróżnego do wypoczynku, tymczasem pod złudną powierzchownością znajduje się przepaść bezdenna.

Jaka jest główna podstawa pozytywizmu? Chcąc odpowiedzieć dokładnie na to pytanie. potrzeba zwrócić uwagę na niektóre objawy naszego umysłu. Człowiek ma wrodzoną dążność do zrozumienia pierwotnéj przyczyny wszechświata, jakoteż tajemnic własnego ducha: jako pośredniego ogniwa pomiędzy światem widzialnym i niewidzialnym. Najrozmaitsze metody używane były z mniejszem lub większem powodzeniem, do rozumowego wytłomaczenia głównych dogmatów ludzkości, jak Bóg, nieśmiertelność duszy, i tym podobne prawdy będące podstawą nietylko wszystkich religii bez wyjątku, ale nawet i pierwotnych mitologii różnych narodów, zamieszkujących kulę ziemską. Filozofowie tak w czasach starożytnych jako też i późniejsi; usiłowali poczucie właściwe ludzkości ująć w formy naukowe, będące zarazem podstawą wszystkich nauk dotyczących człowieka.

Dążność powyższa jako oparta na ideale pod formą filozofii niemieckiéj, szczególniéj w pierwszéj połowie XIX wieku, przybrała rozmiary prawdziwie potworne, rozwiewając w nicość prawdy mające niby uledz naukowemu wytłomaczeniu. Objaśnienie najwyższych zagadek, za pośrednictwem jedynie logicznych wywodów á priori, okazało się niepodobnem. Umysł ludzki oderwany od ziemi bujał zbyt wysoko, łatwo można było przewidzieć nowy zwrot odmiennéj zupełnie ostateczności. Tym właśnie objawem jest pozytywizm.

Zestawiwszy bezowocne często usiłowania metafizyków różnych wieków ze świetnym rozwojem nauk przyrodzonych i różnych dzieł przemysłu, odrzucono ze wzgardą wszelki ideał w nauce, a nawet wszelki kierunek prac, nieprzedstawiający natychmiastowych korzyści. Dobrobyt i wszystko co ma z nim bezpośredni związek, uznano za przedmiot jedynie godny naszych usiłowań; zaliczając myśl i uczucie do działu rzeczy zbytecznych. Określony pomysł nie zalecał się zbytnią nowością, ponieważ rozwijanym już był poprzednio przez Jeremiasza Benthama. Wedle zasad tego myśliciela, ludzie nie byli braćmi ale jednostkami, o duszy nie było mowy; człowiek nie był niczem więcéj tylko odrębnem kółkiem, w wielkiéj maszynie nazywanéj wszechświatem. Każdy przedmiot cenionym był odpowiednio do pożytku materyalnego, jaki mógł przynieść. Przyjemność w życiu i pieniądz jako prowadzący do tego celu, uznanym został za jedyny ideał, ku któremu człowiek zmierzać powinien. Podobne zasady jako jasne i nader zrozumiałe, rozszerzają się z wielką szybkością. Można je ująć początkowemi działaniami arytmetycznemi; prócz tego bilet bankowy ma właściwą sobie wymowę, a liryzm wymieniany z łatwością w kantorach bankierskich, wzrusza łatwo serca czulszych na brzęk jak wdzięk wszystkiego co pięknem i dobrem nazywamy.

Powodzenie finansowe uważane jest przez takich za jedyną miarę zdolności, i stawiają oni zawsze z zupełnem przekonaniem, rozum i prawdę, po stronie milionów.

Znaleziono więc nową dźwignię rodzaju ludzkiego: pożytek bezpośredni dający natychmiastową przyjemność lub pośredni w formie pieniędzy. Tem więc samem usiłowano podkopać główną zasadę Chrystyanizmu, a nie tając się z tem wcale, ogłoszono *wyzwolenie ciała*, jako zdobycz naukową, pierwszorzędnego znaczenia ze wszelkich hamulców na niego nakładanych. Prostem tego następstwem, nakazana przez religią chrześciańską walka z namiętnościami jako przeciwną naturze człowieka, zaniechaną być powinna. W téj mierze nie podobna im odmówić pewnéj logiczności; przyjmując zasadę nie cofnęli się przed wszelkiemi jéj następstwami.

Chrystus przed osiemnastoma wiekami wyzwolił umysł człowieka; pozytywiści w wieku XIX wyzwolili ciało, aby człowiek w całéj pełni używał szczęścia ziemskiego. Pod pozorami zatem mniemanego postępu wskrzeszonym został świat pogański, w którym rozkosz i użycie były głównym celem żywota. Prawidło jest niezłomne: człowiek albo walczy z namiętnościami ujmując je w należne karby, albo ulega im zostając zwierzęciem. Pod pozorem wyzwolenia ciała, chciano spętać ducha, aby ten nareszcie ziemię i jéj uciechy uważał za ostateczny wyraz możliwego szczęścia. Ni gdy jeszcze materyalizm nie przedstawił się w równie ułudnéj i niebezpiecznéj formie; wysilono dowcip aby nietylko wytłomaczyć i usprawiedliwić, ale uznać za stan doskonały schlebianie różnym skłonnościom człowieka na które dotychczas kazano mu patrzéć z obrzydzeniem.

Prorok jednak współczesnego pozytywizmu August Comte chcąc rozpocząć nową erę ludzkościową, uznał za konieczne wprowadzić do systemu ideę Boga i nieśmiertelności duszy, aby odwieczne w téj mierze poczucie tylu pokoleń znalazło odpowiednią formułę. Nie zapomniał również o stronie zewnętrznéj tworząc kościół pozytywny, ustanawiając kapłanów i nowego rodzaju sakramenta, słowem w dawne formuły kościoła chrześciańskiego. usiłuje wprowadzić treść i zasady odpowiednie do swego zapatrywania się. Dotychczas uczniowie i naśladowcy Augusta Comta, postępowali w ścieśnionych szeregach; przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi nazywanemu religią chrześciańską; odtąd nastąpiło rozdwojenie, wielu uczniów opuściło uwielbianego przedtem mistrza, skoro ten wytworzył nową religią przepisując odpowiednie obrządki. Wykonanie ostatecznego zamachu odłożono na później, poprzestając czasowo na wojnie podjazdowéj. Tą właśnie drogę obrali również i tak zwani pozytywiści warszawscy, którzy po wyzwoleniu ciała odznaczają się szczegółową niewolą ducha, uwydatnioną w ślepem naśladownictwie niektórych pisarzy zagranicznych, ogłaszających za prawdę chorobliwe marzenia.

Określenie głównych zasad religii pozytywnéj raczcie uważać jakby sprawozdanie z pięcio aktowéj komedyi psychologicznéj obracającéj w żart najważniejsze podstawy społeczne. Nie podobna jednak odmówić twórcy prawdziwego dowcipu i zręczności. W ścieśnionym zakresie pozytywizmu, odrzucającego bez wyjątku wszelkie rzeczy nadnaturalne, wytworzenie nowéj religii było rzeczą niełatwą, pomimo tego pisarz francuzki z odwagą niepospolitą i godną lepszéj sprawy, targnął się na wszystkie dogmaty, nie burząc je ale tworząc nowe, aby wedle swego pojęcia wprowadzić ludzkość na drogę prawdy nie urojonéj ale rzeczywistéj.

Bossuet podzielił dzieje rodu ludzkiego na dwie epoki: pierwsza od stworzenia człowieka do przyjścia Chrystusa była przysposobieniem ludzkości do usłyszenia zasad prawdziwéj religii; druga jest wcieleniem tych zasad w życie jednostek pojedynczych i zbiorowych. August Comte przyjmuje również dwie epoki, ale ze zmienioną datą i różną zupełnie osobistością stanowiącą przełom w dziejach ludzkości. Epoka pierwsza skończyła się w miesiącu Lipcu 1851 w którym to ogłoszonem zostało dzieło obejmujące system polityki pozytywnéj. Tem samem żyjemy w epoce drugiéj mającéj wcielić w życie zdobyte prawdy. Podstawy nowéj religii zawarte są w dziele wydanem pod tytułem „*Katechizm w jedenastu rozmowach kobiety z kapłanem ludzkości.*

Wymienione prace poprzedzone były wykładem filozofii jako dającej zasady, z których wprowadzone były odpowiednie zastosowania. *(d. c. n.)*

Opis Ryciny Kolorowéj.

Ubranie strojne z wêtement. Całe ubranie odrobione jest z faille jasno niebieskiego koloru, przody vêtement do wcięcia w pasie zapinają się na guziki, daléj do dołu zachodzą skośnie jeden na drugi i złączone są u dołu kokardą. Bryt prosty tylny w górze sfałdowany, jest podpięty w pukiel wskazany na rycinie. Plisowanie, wypustki i kokardy z atłasu tego co suknia koloru.

Ubranie dla małéj dziewczynki. Sukienka formą princesse, z różowéj wełnianéj satynki, z dodaną krótką w koło fałdowaną spódniczką, ubrana jest materyałem w rzucik kolorowy, z którego dana jest szarfa i plisa zakończona atłasową wypustką.

Suknia z ciężkiéj materyi i broszowanego aksamitu. Stanik z szalowym kołnierzem odrobiony jest z aksamitu jeden z tylnych brytów stanowiących długą draperyą, kraje się razem z częścią pleców, drugi bryt z gładkiéj materyi jest w górze sfałdowany i piękną pasmanteryą do stanika przymocowany; u dołu bryty są skrzyżowane. Z przodu ułożona jest draperya z materyi i aksamitu. Spódnica z boku zapinana wszyta jest w pasek przyszyty do stanika. Rękawy zakończone są plisą z materyi z wypustkami ze sznureczkiem, i przystrojone guzikami szmuklerskiemi.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa, oraz dla prenumeratorów na prowincyi Prospekt Kłosów; Prospekt Tygodnika Powszechnego i Prospekt Żywotów Świętych.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 27 Ноября 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20)

Dodatek.

KRZYŻ W MOUGUERRE.

PRZEZ

panią Klarę de Chandeneux

przekład

K. P.

(Dalszy ciąg).

Zaraz po śniadaniu prędko przygotował się do odjazdu, i nie bez szczerego wzruszenia żegnał się z nową swoją rodziną. Wszak pozostawiał matkę dla której tak wielką poniósł ofiarę... pozostawiał żonę która ukochała go całą duszą.

Maryi Annie do końca nie zbrakło odwagi; nie głosiła próżnych skarg ani użaleń. Stefan powiedział jéj: „Spodziewam się że wrócę za trzy miesiące" drżąca ściskała dłoń jego powtarzając;

— Za trzy miesiące!... za trzy miesiące!...

Panowie de Fouzolle i Bernard odprowadzali Stefana. Gdy odkryty powóz zakręcał ku Saint-Pierre, na drogę ciągnącą się przez wieś i po nad jeziorem, Stefan chciał rozkazać stangretowi aby jechał na Mousseroles, gdzie nie spodziewał się niepożądanych spotkań ani przykrych wspomnień, ale w tejże chwili zawstydził się swéj słabości i spokojny jechał daléj.

Uspokojony poczuciem obowiązku przeciw pokusom wyobraźni, patrzył spokojnie na domek Baskijki, na jéj ogródek kwiatowy, zostający jakby pod strażą kozy; na cmentarz z jego mogiłami, na jezioro ocienione drzewami i czerwony dach domku nadzorcy; pod którym przebywał jego, z gminu pochodzący, nieprzyjaciel.

Przybył do Bayonny przed samem odejściem pociągu; jechał całą noc i dzień następny, i znużony tak nagłą podróżą, tak późno stanął w Hawrze, iż zaledwie miał czas pobiedz do portu i łódką dopłynąć do *Sekwany* stojącéj na kotwicy o kilka sążni od wybrzeży.

Członkowie Komissyi przyjęli serdecznie i z odznaczeniem młodego oficera; niektórzy, korzystając z praw koleżeństwa, żartowali lub użalali się nad nim że rozkaz ministra zaskoczył go właśnie przy ślubnem śniadaniu. Komendant powiedział mu niby na pociechę:

— Ja, kapitanie, gdy odebrałem rozkaz udania się do Krymu, byłem dopiero od trzech miesięcy ożeniony z kobietą którą ubóstwiałem; powróciwszy, zastałem dwoje bliźniąt... bez matki. Zawsze więc szczęśliwszyś pan odemnie.

Pan de Vambry przyznał to chętnie, nie gniewał się za żarty i ubolewania kolegów i tak umiał ich sobie ująć taktownem i sympatycznem obejściem, iż nim tydzień upłynął pozyskał serca wszystkich.

W Mouguerre odjazd jego wywołał smutek ale bez zniechęcenia. Jakkolwiek bolesnem było to nieprzewidziane rozłączenie, pocieszano się że trzy miesiące niedługo upłyną, a Marya Anna, najboleśniéj dotknięta. uważała sobie że tak wielkiego szczęścia nie można okupić dość drogo, i w pożytecznych zajęciach szukała ulgi na swój smutek i tęsknotę.

Pani de Vambry kilka dni tylko mogła pozostać przy synowéj do któréj coraz więcéj się przywiązywała, gdyż musiała wracać do sześciu sierot pozostałych w Paryżu, któremi podczas jéj nieobecności opiekowała się jéj zaufana przyjaciółka. Szczerze przywiązana do wnuków, postanowiła nie oddawać ich ex tancerce lugduńskiego teatru, dopókąd Bóg jéj życia użyczy.

Marjusz de Vambry był już mężem Sylwii Joanes: resztki powabów świetnego niegdyś salonowca, dozwoliły mu przekonać młodą Hiszpankę aby dla jego miłości poświęciła hołdy ogólne, i zamieniła wrzawę i uciechy wielkiego miasta, na ciche życie w małem miasteczku, Pragnienie poważania, tęsknota do rodzinnego życia, tak często budząca się w sercu kobiet występujących na scenę, przyczyniły się silnie do skłonienia Sylwii do tego małżeństwa A dodać jeszcze trzeba, że Marjusz zapewnił ją iż ma nadzwyczaj silną protekcyę, dzięki któréj pobyt jego w małem miasteczku departamentu Isère bardzo krótko potrwa, i przeniesie się niebawem do jakiegoś wielkiego miasta, godniejszego jego ubóstwianéj Sylwii. Przytem zaledwie natrącił o swoich sierotach pozostałych po pierwszéj żonie któremi opiekuje się babka, i podobno do chwili podpisania umowy przedślubnéj ex tancerka nie wiedziała nawet ich liczby, która tak ją przeraziła, iż przed samym ślubem chciała się cofnąć.

— Nie czuję w sobie powołania na ochroniarkę! zawołała. Lubię dość dzieci ładnie przystrojone i ładne jak cherubinki—byle nie kazano mi zajmować się niemi,—na inne i patrzéć nie mogę.

Marjusz uspokoił ją zapewnieniem że matka jego zastrzegła sobie aby ona jedna wyłącznie zajmowała się wychowaniem wnuków, więc liczba ich jest dla niéj obojętna.

Notaryusz nie potrzebował natężać umysłu nad spisaniem intercyzy; pan młody nie miał nic prócz długów, panna młoda posiadała same tylko ubiory i kostiumy teatralne; ona podpisała akt nadąsana, on z tryumfującą miną i ślub odbył się nazajutrz.

Pani de Vambry została o tem zawiadomioną na parę dni przed opuszczeniem Mouguerre.

XIX.

Nie domyślając się powodów, jednakże mieszkańcy wioski zmiarkowali wkrótce że zobowiązania łączące z sobą Graciozę Irribery i Jana Berette zostały zerwane, a jakkolwiek niezaprzeczona wyższość pięknéj góralki nad swemi towarzyszkami, budziła w nich zazdrość połączoną z pewnym odcieniem niechęci, jednak znając jéj charakter nikt nie przypuszczał aby dla prostego kaprysu, zrywała tak uroczyste przyrzeczenia. Musiały więc istnieć jakieś ważne powody, gdyż inaczéj zwyczaje baskijskie nie dopuszczają podobnéj zmiany uczuć.

Widziano także iż przemytnik cierpiał nad tem zerwaniem i codziennie próbował sprowadzić pojednanie; gdyż jak tylko minęło pierwsze gwałtowne uniesienie zastanowiwszy się uznał swą winę i chciał okupić ją pokorą. Zawsze tak dumny i nieugięty, ukorzył się przed nią i nie raz całe dnie żebrał daremnie jednego spojrzenia.

W niedzielę, przed nabożeństwem, wieczorem przed powrotem trzody z pola, wyczekiwał na drodze którą Gracioza przechodzić musiała, a jeżli któryś z górali był chory, mogła być pewna że go spotka przed drzwiami jego chaty. Gdy nie mogła uniknąć, słuchała słów jego, ale odpowiadała na nie milczeniem. Nic nie pomagały ani prośby ani wyrzuty, nie odpowiadała na nie; a nareszcie zmęczona tem prześladowaniem, odrzekła:

— Co tylko można było powiedzieć, wypowiedzieliśmy sobie na cmentarzu, nic już nie mam do tego dodać.

Uciekała się do kobiecéj przebiegłości aby unikać spotkania z byłym narzeczonym; a tak dwie te istoty, które powinny były się kochać, rozłączone nieprzewidzianym zbiegiem okoliczności, staczały z sobą jakby głuchą zaciętą walkę, nużącą ich zarówno oboje.

Odtrącany zawsze, przemytnik uciekał się do ulubionego swego zajęcia. Wychodził tajemnie w nocy, przebiegał wielkie odległości, przemycał towary znacznéj wartości, co mu wielkie zapewniało zyski; cóż kiedy wróciwszy do domu, wcale się teraz niemi nie cieszył.

Na cóż mu teraz bogactwo, skoro Gracioza nie chciała go z nim podzielać?... Cóż mu z tego że wszystkich strażników przewyższał przebiegłością i śmiałością, kiedy ona nie przyklaśnie jego wycieczkom!... Co mu z tego że jest najpiękniejszym i najsilniejszym z okolicznych młodzieńców, kiedy ona ani spojrzéć nie chce na niego!...

Wtedy szukał zapomnienia w innem źródle, nieczniejszem jeszcze od przemytnictwa, które zapewnie długo jeszcze nie da się wytępić w téj okolicy Jan Berette oddał się nałogowi pijaństwa, do którego od lat młodocianych usposabiało go jego jakby koczujące życie. Wtedy wieś cała, dotąd dumna ze swego zucha i nie gorsząca się wcale jego przemytniczemi sprawkami, z których wywijał się tak gracko, patrzyła ze smutkiem na ten poniżający, upadek, który bardzo szybko gwałtowne przybierał rozmiary.

Z początku, ilekroć ulegając pokusie zanadto uraczył się Bearnejskiem winem, unikał ludzi aby go nie widzieli pijanym, ale wkrótce nic sobie z tego nie robił i spotykano go na w pół-pijanego, w tym stanie odurzenia, co to nie zupełnie pozbawia świadomości, chociaż odbiera przytomność. Chciał zapomnieć, stracić pamięć rzeczy i okoliczności, a nie mógł tego dokazać.

Co do Graciozy, zdawałoby się że nic nie widzi i niczego nie odgaduje. Wrodzona delikatność, już dawniéj nie dozwalała jéj zachwycać się zmyślnością przemytnika, a jakżeż to oburzałby ją tak wstrętny nałóg!

Poważna, zamyślona, długie godziny codziennie spędzała w pałacu a potem wracała do swéj chaty, zawsze gotowa nieść pomoc chorym i cierpiącym. Od czasu jak z coraz widoczniejszym skutkiem leczyła Maryę Annę, większy jeszcze na górali wywierała urok.

Żaden doktór nie mógłby zająć się kuracyą téj wątléj istoty, z większem poświęceniem i zaparciem siebie. W téj zaciętéj walce z anemią, tak rozwiniętą iż groziła śmiercią, Gracioza rozwijała gorączkową działalność, postanowiwszy sobie koniecznie

wyjść z niéj zwycięzko. Zdrowie Maryi Anny to się polepszało to pogorszało, jednak w ogóle czuła się silniejszą. Prześliczna w tych górskich strefach jesień dozwalała jéj dłużéj pozostać w Mouguerre, nie przerywając kuracyi tak błogie przynoszącéj skutki. Biedna Marya Anna myślała z trwogą że z pierwszem zimnem będzie zniewolona przenieść się do Bayonny, wyrzec się długich przechadzek, pokrzepiającego górskiego powietrza, aromatycznéj woni ziół i miłych pogadanek ze swoją ukochaną Graciozą.

A tak błogo jéj było dzielić się wszystkiemi wrażeniami swemi z tą niezrównaną przyjaciółką!... Mówiła z nią o szczęściu jakie obiecywała sobie znaleźć w swojem zamąż-pójściu, obiecując sobie że za powrotem Stefana, Gracioza stanie się dla niego tem czem jest dla niéj, najlepszą, najżyczliwszą siostrą.

Często też mówiła z nią o nieobecnym, a w listach Stefana znajdowała czego tam nie było, to jest dowody uczucia, za które poczytywała obowiązujące grzeczne słówka, któremi wypadało mu ozłocić swoje oddalenie.

Komissya wolno bardzo prowadziła swoje prace i doświadczenia, przez co opóźniał się powrót pana de Vambry; ubolewał nad tem w listach swoich nader umiarkowanemi i najzupełniéj konwencyonalnemi wyrazami. Marya Anna byłaby wolała odebrać trzy wiersze tchnące szczerym smutkiem, niż całe stronnice uczonych opisów i malowniczych opowiadań.

— My inaczéj piszemy, rzekła do Graciozy, nie skończymy listu bez nakreślenia choć kilku wierszy tchnących serdecznem, ciepłem uczuciem.

— Mężczyźni są innego usposobienia, odrzekła Baskijka; oni posiadają rozum i dowcip, my mamy serce.

Gdy już miała wracać z margrabiną do pałacu de Fouzolle, odebrała wiadomość że pani de Vambry zachorowała niebezpiecznie w Paryżu; dwukrotnie zawezwany Marjusz, nie przybył dotąd do matki. Chora prosiła przybranéj córki aby przyjechała zaraz do niéj, jeżli tylko zdrowie jej dozwala odbyć tę podróż. Marya Anna postanowiła jechać natychmiast, dziękując Bogu że użyczył jéj więcéj sił wtedy właśnie, gdy ma nowe do spełnienia obowiązki.

Pan de Fouzolle, choć bardzo z tego niezadowolniony, towarzyszył jednak córce. Właśnie rozpoczął już przedwstępne kroki co do zawarcia powtórnego małżeństwa, aż oto ta nieszczęsna przerwa może wpłynąć na ostudzenie zapałów, które zaledwie zdołał rozdmuchać ten sześćdziesięcio-letni adonis.

Biedna pani de Vambry nie przeczuła że żegnając się ze Stefanem, widzi go po raz ostatni. Zapadła na tyfus grasujący wówczas w Paryżu; cierpiała wiele i oczekiwała spokojnie śmierci, z wiarą i pokorą chrześcianki ufającéj w miłosierdzie Boże. Spokojna o przyszłość Stefana, pani de Vambry modliła się o szczęście Marjusza i jego dzieci, a gdy gorączka się zmniejszała, nalegała na otaczających aby koniecznie zawezwano Maryę Annę. Uczyniono zadość jej woli i oczekiwano niecierpliwie przybycia młodéj pani de Vambry, i wszyscy odetchnęli spokojniéj, gdy nareszcie stanęła w progach tego domu, który śmierć niebawem nawiedzić miała.

Powitanie tych dwóch kobiet było nadzwyczaj wzruszające i uroczyste. Biedna matka jaśniéj jeszcze widziała teraz wszystkie dotychczasowe i przyszłe winy i upadki starszego syna.

— Marjusz nie przyjeżdża, rzekła smutnie do synowéj; muszę pragnąć aby powodem tego była raczéj słabość niż nowe jakie szaleństwo.

— Uspokój się, droga matko, przybędzie niezawodnie, może jeszcze dziś wieczór.

— Dziś wieczór... i umierająca wzniosła oczy w górę, jakby szukając nieba. Chciałabym oddać mu biedne sieroty... Dla nich jeszcze z kilka lat potrzebna byłam na świecie... ale skryte sądy Boże.. niech się dzieje święta Jego wola!...

Nadszedł wieczór—Marjusza nie było. Chora traciła siły; przyjęła Ś. Sakramenta, i zdawało się że czeka tylko na przybycie syna, aby zasnąć snem wiecznym. O dziesiątéj, rzekła jakby w jasnowidzeniu:

— Nie przyjedzie!

Potem przyciskając do siebie Maryę Annę, rzekła słabnącym głosem:

— Wiem że kochasz Stefana i zapewnisz mu szczęście... Powiedz mu że ciężko mi umierać nie mogąc widziéć go i pobłogosławić... powiedz że gdy uczuje w sobie jakiś szlachetny poped, gdy jakaś piękna, wzniosła myśl zbudzi się w jego umyśle, to duch mój natchnie jego serce... A ty, Maryo Anno, odwieź ojcu te biedne sieroty... kocha je przecież pomimo wszystkiego—może też i młoda żona jego przywiąże się do nich... Poproś ją o to w imieniu zmarłéj matki męża, która przecież nie odmówiła jéj swego błogosławieństwa...

Wyciągnęła rękę nad głowami sierot klęczących przy jéj łożu i już nic mówić nie mogła. W nocy zasnęła snem wiecznym.

Pan de Fouzolle wysłał czwartą z kolei depeszę do Marjusza, która równie jak pierwsze pozostała bez odpowiedzi. Daremnie także opóźniono pogrzeb, Marjusz nie przybył i nic nie odpowiedział. Nikt nie umiał wytłomaczyć sobie tego niepojętego milczenia.

Pan de Fouzolle niecierpliwił się i nalegał na córkę aby zaraz po pogrzebie wracać do Bayonny, ale Marya Anna chciała pierwéj spełnić ostatnią wolę umierającéj, i skoro Marjusz nie przybył, odwieźć mu dzieci. Nie lękała się podróży do Delfinatu, ale serce ją bolało patrzeć na łzy biednych sierot. Nie chciały wierzyć że ich ukochana, dobra babunia na zawsze ich opuściła.

Najstarsza, Berta, miała lat dwanaście i ona to kierowała całą gromadką, która z ufnością tuliła się do Maryi Anny. Po niej czterech chłopczyków, Ludwik, Adryan, Euzebiusz, Piotr i najmłodsza córeczka, Marynia, pulchna trzyletnia dziewczynka któréj serdeczne całusy przejmowały dreszczem Maryę Annę, budząc w niéj instyktowe przeczucie macierzyństwa.

Biedna Marya Anna! jakież to trudne obowiązki wkładał na nią ten związek przerwany w godzinę po ślubie! Musiała zawiadomić o téj bolesnéj stracie oddalonego a tak kochanego męża, który dotąd nie wspominał o powrocie, i starać się pocieszyć i osłodzić boleść jego.

Stefan namiętnie kochał matkę, i widzieliśmy że dla niej gotów był zawsze najcięższe ponieść ofiary. Marya Anna nie znała całéj rozciągłości tego zaparcia się siebie, odgadywała jednak że poszanowanie woli matki wpłynęło głównie na oświadczenie Stefana; ale łagodna i niezarozumiała, tem więcéj ceniła go za jego miłość dla matki, któréj choć cień spodziewała się także posiąść dla siebie.

Załatwiwszy niezbędne formalności, zabrała dzieci i pojechała do Delfinatu pod opieką ojca, który choć zły i kwaśny, towarzyszył jednak małéj karawanie przybranéj w żałobne szaty. Marya Anna wydawała się jak starsza siostra sierot. Podróż odbyli z wszelkiemi możliwemi dogodnościami i pośpiechem, a dzieci tak się przywiązały do swéj młodéj opiekunki, że Marya Anna myślała z żalem iż nazajutrz musi już rozstać się z niemi.

Nareszcie przybyli do Tullins, małego miasteczka rozsiadłego w pięknéj dolinie Gresivaudan. Pan de Fouzolle nie dozwolił córce tracić czasu na rozpatrywaniu się w pięknych krajobrazach, zapytał zaraz o mieszkanie poborcy i udano się tam z dworca kolei. Posłyszawszy turkot powozu, Marjusz de Vambry wyjrzał oknem pierwszego piętra, poczem co prędzéj zbiegł na dół powitać podróżnych, a zaczerwienione od łez oczy, dowodziły że wiedział o poniesionéj stracie.

Marya Anna spostrzegła od razu że nie był w żałobie, a nadto że miał na szyi jakiś dość jaskrawy krawat.

Ach! rzekła, podając mu rękę, dla czegoś pan nie przyjechał... twoja dobra matka tak pragnęła cię widziéć...

XX.

Zanim Marjusz de Vambry zdołał odpowiedzieć, zdawało się że wicher wpadł do sieni, i ostry dość głos powitał Maryę Annę temi słowy:

— Przed oskarżaniem, trzeba było poznać powody, które mężowi memu nie dozwoliły korzystać z zawiadomienia, a pewnie powstrzymywałabyś się pani od niesłusznych wyrzutów.

Zadziwiona niewymownie, podniosła oczy na kobietę przemawiającą do niéj tak niegrzecznie, i uderzyła ją zarówno niezwykła jéj piękność, jakoteż dziwaczny negliż w jakim się ukazała.

Przez otwarte drzwi na podwórze, światło wpadające do sieni ukazywało w pełni blasku tę śliczną istotę, stojącą wyzywająco przed progiem swego mieszkania, jakby broniąc do niego wstępu natrętnym przybyszom.

Sylwia obok olśniewającéj piękności miała ruchy aktorki, rysy piękne i szlachetne, wyraz twarzy wyzywający. Pomimo że była Hiszpanką, miała czerwonawe włosy Wenecyanek, i mleczno białą, jakby porcelanową cerę Angielek. Tę jéj białość podnosił jeszcze jedwabny, krwisto czerwony negliż z długim trenem i szerokiemi rękawami, z pod których wysuwały się okrągłe, jakby utoczone ręce, które dawniéj witały frenetyczne oklaski, gdy z porywającym wdziękiem podnosiły się w górę po nad głowę tancerki.

Wielkie jéj włosy, lśniące miedzianym odbłyskiem, spadały rozrzucone na ramiona, dotykając tu i owdzie pięknéj szyi, jakby odwzorowanéj ze starożytnych arcydzieł.

Patrząc na nią, Marya Anna zrozumiała szał Marjusza.

— Wejdź, bratowo, proszę cię, rzekł on, zmieszany takiem wystąpieniem żony, ale zarazem dumny wrażeniem jakie wywarła jéj piękność!

Sylwja raczyła usunąć się do wnętrza pokoju z teatralną powagą, ale mijając próg, zgubiła haftowany złotem pantofelek, niegdyś kosztowny, obecnie zupełnie wyszły z formy. Dzieci zaczęły przyglądać mu się z podziwieniem, nie pojmując co to jest i do czego służyć może; Marjusz nogą odrzucił go w kąt pokoju.

Widok pana de Fouzolle zarówno jak widok gromadki dzieci, nie podobał się ex tancerce.

— Czy przybywasz pan z Paryża dla wyprowadzenia z nas śledztwa? zapytała cierpkodrwiącym tonem.

— Nie pani, odrzekł ostro, zadanie to zostawiam jéj sumieniu.

— Niech pan hrabia zechce wierzyć że zachodziła w tem opłakana fatalność... Nie mogę odżałować nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, który spowodował naszą nieobecnośc w Tullins, podczas gdy tu przychodziły telegramy.

— W skutek czego minęło pana ostatnie błogosławieństwo umierającéj matki, rzekła Marya Anna.

— A za to spotkały nas takie odwiedziny, rzekła półgłosem Sylwja.

— Chciałbym usprawiedliwić się z zarzutu jaki mogłem na siebie ściągnąć, zapewnie posądzaliście mnie państwo o opieszałość...

— O opieszałość! przerwał hrabia; o! nie panie, zaszczycaliśmy cię przypuszczeniem żeś chyba umarł.

Sylwja rozśmiała się głośno, ukazując drobne białe ząbki:

— Nie, panie, rzekła, byliśmy jak najzdrowsi i tak pełni życia, iż przyszło nam do głowy zrobić wycieczkę do Włoch, nie uprzedzając o tem władzy która nie chce udzielać żądanych urlopów.

— Jakto! zawołała Marya Anna, więc wyjechaliście państwo...

— Bez urlopu i nie uprzedziwszy nikogo że i gdzie jedziemy. Pewnego wieczora, ukradkiem, jak uciekający winowajcy, zrobiliśmy wycieczkę do Sabaudyi... Zakrawało to jakby na wykradzenie... ubawiłam się doskonale!...

— A gdyby też w tym czasie zaszła jakaś ważna okoliczność?

— Eh! to nic... Marjusz lubi walczyć z niebezpieczeństwem.

— Lecz jeżliby doniesiono władzy?...

— Ha! toby wyleciał z posady.

— Sylwjo!... zawołał z niezadowolnieniem Marjusz.

— Wielka mi rzecz! mogłeś przecie narazić się na jakąś przykrość, dla zrobienia mi przyjemności. Zamknąłeś mnie w takim zaklętym kącie, iż podobna wycieczka nikogo dziwić nie powinna, musiałam przecież odetchnąć.

— No, zapewnie, droga Sylwjo; ale widzisz jak bolesne zaszły okoliczności podczas naszéj podróży do Włoch.

— Tak, jest to przykre ale przecież nie zbrodnia.

— Proszę cię, Sylwjo...

— Pan de Fouzolle lepiéj to zapewne rozumi niż pani Stefanowa de Vambry, odrzekła, orzucając hrabiego wyzywającem spojrzeniem, jakiem dawniéj ze sceny magnetyzowała pierwsze rzędy krzeseł.

— Ja to tylko rozumiem, rzekła Marya Anna, że stało się nieszczęście którego żadne tłomaczenia ani żale cofnąć nie zdołają.

— Co do tego zgadzam się z panią. Matka męża zeszła ze świata, podczas gdy my bawiąc się, nie wiedzieliśmy nic nawet o jéj chorobie; nie można jednak winić mnie żem męża zatrzymywała we Włoszech, bo gdybym wiedziała o tem, wyprawiłabym go natychmiast, a kuzyn mój byłby odwiózł mnie do domu. Ale telegramy, które jak grad spadały, odbierał nasz kontroler, łamiąc ręce z rozpaczy że nie wie gdzieby nam je przesłać. I to właśnie były najpocieszniejsze... Otóż ślicznie się zakończyła nasza podróż. Wracamy, masz tobie!... Marjusz płacze, ja muszę przywdziać żałobę, a na domiar spada mi na kark gromada dzieciaków... A. to można zwarjować!

Zimno przeszło Maryę Annę; słuchała z osłupieniem mowy téj pięknéj kobiety, wypowiedzianéj z gniewem, podczas gdy oczami szukała po podłodze utraconego pantofelka, teraz już nie pojmowała zaślepienia Marjusza, który nie wiedząc co powiedzieć, przypomniał sobie że jeszcze nie przywitał się z dziećmi i zaczął je ściskać dość serdecznie.

— A ileż tam tego jest? zapytała Sylwja; taka gromada że i policzyć trudno... Ten oto blondynek, podobny do ciebie, Marjuszu, a ta brunetka ma ładne oczy. Pójdź tu, mała, niech ci się przyjrzę. No ta ładna... ale inne!... no, nie można ci ich powinszować!

— Mniejsza o piękność, rzekła Marya Anna, ale dzieci te są dobre, łagodne, posłuszne i z łatwością przywiążą się do pani.

— Posłuszne? no, to dobrze, bo też nie zniosłabym hałasu, płaczu ani grymasów... Musicie być grzeczne i potulne, czy słyszycie, dzieciaki?... inaczéj dyscyplina będzie w robocie.

Biedne dzieci, przerażone, milcząc pospuszczały główki.

— Ależ pani, rzekła znów Marya Anna, biedne dzieci nie rozumieją nawet groźby pani, one nawet z nazwy nie znają dyscypliny.

— A więc jak były niegrzeczne i nieposłuszne to im dawano cukierki?

— Nie pani, w takim razie należy upomnieć lub połajać; ale one słuchały babki, bo ją kochały i nie chciały zasmucać.

— Modna edukacya! odrzekła drwiąco Sylwja; rezonowanie i sentymentalizm... zobaczemy też jakie wydały owoce... Wreszcie co mi do tego, to rzecz Marjusza, wierzcie mi państwo że nie mam najmniejszéj ochoty mięszać się do dzieci.

Łzy zakręciły się w oczach Maryi Anny. To dziwne przyjęcie, ta kobieta bez serca i bez wychowania, ten mąż zawojowany, myśl że musi zostawić biedne sieroty w tak nieodpowiedniem dla nich miejscu, ciężkim przejmowały ją smutkiem. Pragnęłaby chętnie wziąść do siebie choćby połowę sierot, ale nie domyślając się że przystanoby na to z radością, nie śmiała wystąpić z tą propozycyą. A potem pomyślała że może wspólne spełnianie tak świętego obowiązku i podzielenie się tak trudnym do znoszenia ciężarem, zbliżą więcéj do siebie i sprowadzą jakąś równowagę w tem niestosownem i źle dobranem małżeństwie.

Kilka słów Marjusza dały nareszcie Sylwii do zrozumienia że źle się wywiązuje z obowiązków pani domu, przyjmując gości stojąc i burcząc.

— Jeszcześmy się nie urządzili po powrocie, rzekła, jednak mimo ogłupienia w jakie wprowadziły nas te liczne depesze i zupełnie nieprzewidziane odwiedziny, spodziewam się że zdołam ofiarować państwu jaką taką gościnność, jeźli zechcecie uwzględnić nieprzygotowanie.

— Dziękuje pani, odjeżdżamy zaraz, odpowiedziała Marya Anna, zdjęta przerażeniem na samą myśl aby miała spędzić noc w domu Sylwii.

Od pierwszego spojrzenia spostrzegła straszny nieład i nieporządek panujący w tym domu, pomimo zbytkownego na pozór umeblowania. Meble były zniszczone, jasne atłasowe ich pokrycie straciło kolor od warstwy pokrywającego je kurzu. Pani domu nie raczyła się zajmować porządkiem w domu uważając to za niegodne siebie i zdając to wszystko na służącą—i na jakąż jeszcze. Była to ciężka zasmolona dziewka, która wpadła do pokoju wołając głośno co będzie na śniadanie, bez żadnego uszanowania dla pani swéj i jéj gości.

Sylwja wydała rozkazy, odprawiła sługę, a zwracając się do Maryi Anny rzekła wzruszając ramionami:

— Widzisz pani jak jestem obsłużona w téj przeklętéj mieścinie!... a muszę trzymać tego dragona, bo to już czwarta sługa w przeciągu sześciu tygodni.

Pan de Fouzolle skinął na córkę że wypada zabawić chwilkę i przyjąć to śniadanie; wiele to kosztowało Maryę Annę, zgodziła się jednak, tak przez wzgląd na brata męża jak na biedne sieroty, z któremi choć chwilkę dłużéj zabawić chciała.

Dla braku miejsca, dzieci nie siedziały przy stole; Sylwja posadziła ich przy małym gerydonie, na którym ściśnięte talerze, jeszcze całe stanąć nie mogły. Biedne sieroty przywykłe siadać razem z babką, około stołu nakrytego zawsze śnieżnéj białości obrusem, i zastawianego skromnie ale elegancko prawie, gdzie każde miało swoje srebrne, połyskujące nakrycie, patrzyły z zadziwieniem na ciasny stolik i cynowe łyżki. Zamiast wygodnych, odpowiednich do ich wzrostu stołków, posadzono ich na nizkich krzesełkach, na których dla najmniejszych ułożono stosy książek dla podwyższenia. Rusztowanie to osunęło się, dziecko spadając pociągnęło za sobą stolik, talerze spadły, sukienki zostały poplamione—ślady tego wypadku odbiły się aż na posadzce.

Sylwja, która jak to zapowiedziała dzieciom, nie znosiła ani płaczu ani hałasu, na widok tego spustoszenia zaczęła wrzeszczeć jak zestraszona perliczka; dzieci znowu ze strachu głośnym zanosiły się płaczem.

Marjusz chciał uciszyć burzę, ale nie zdołał uspokoić rozgniewanéj żony dopókąd dzieci nie przestały płakać. Fantastyczka i egoistka, nie omieszkała korzystać z téj sposobności aby zarzucić męża wyrzutami. Za to że gerydon się przewrócił i spadło parę talerzy, on musiał usłyszéć w obec obcych a szczególniéj w obec dzieci swoich zarzut złéj wiary i niesumienności.

Przyrzekł tancerce że osiedlą się w wielkiem mieście, a mieszkają w nędznem Tullins... przyrzekł bale i zabawy, a tu o dziewiątéj szczelnie zamykają wszystkie domy i wszyscy udają się na spoczynek... Zapewnił ją że nic wiedzieć nie będzie o jego dzieciach z pierwszéj żony, aż nagle spada jéj na kark sześcioro nieznanych, wrzaskliwych bachorów... Nareszcie przysiągł ją uszczęśliwić, a nie ma na całym świecie kobiety nieszczęśliwszéj od niéj, i to po paru miesiącach pożycia... Ach! czemuż, szalona, uwierzyła pięknym jego słówkom!... po cóż opuściła teatr lugduński gdzie ją otaczały hołdy i uwielbienie ogólne!... po cóż w pierwszéj młodości wiośnie skazała się na to trapistowskie życie!... czemuż piękność jéj musi zmarnieć w tym zaklętym kącie!.. I otóż to nagroda jéj uczciwości... jéj niedoświadczenia... i ufności jaką położyła w panu de Vambry... Gdyby tylko chciała mogła była wejść do Opery, gdzie ją dyrektor koniecznie zaangażować pragnął... i jakże to oceniają jéj poświęcenie!...

Marjusz, słuchał tego potoku wyrzutów posępny i niemy, nieruchomy jak kariatyda na którą spadają bezustannie fale kaskady, W problematycznem szczęściu jego małżeńskiego paromiesięcznego pożycia, nie jedna już wybuchła burza, ale obecna była gwałtowniejszą i trwała dłużéj niż zwykle. A wiedział z doświadczenia że chcąc przerwać, przeciągnąłby ją w nieskończoność.

Nareszcie wypowiedziawszy wszystko co jéj ciężało na sercu, Sylwja zamilkła; dzieci przestały płakać słuchając co ona mówi, i nastała cisza około stołu którego biesiadnicy stracili apetyt i humor Sylwja pierwsza odzyskała oboje; nie bez pewnego wdzięku prosiła Maryi Anny aby przebaczyła zbytnią jéj żywość, którą tłomaczyło jéj urodzenie i wychowanie.

— Ale bądź pani pewną, kończyła, że spełnię to zupełnie nieprzewidziane zadanie matki rodziny

zarówno jak poddałam się temu klasztornemu życiu—tylko potrzebuję trochę czasu, aby się z niem oswoić. Czy nie zechcesz mi pani w tem dopomódz pozostając kilka dni z nami?

Marya Anna wymówiła się od tego zaproszenia, dając za powód odmowy że ojciec jéj zmuszony jest jak najśpieszniéj wracać do Bayonny. Przez parę godzin jakie jeszcze zabawić miała, zajęła się wyłącznie sierotami, aby je choć cokolwiek oswoić z nowem miejscem pobytu: wprawdzie nie miała więcéj doświadczenia od Sylwii, ale szlachetne jéj serce wybornym stało się przewodnikiem.

Przed jéj odjazdem, pomieszczono dzieci w ładnych małych dwóch pokoikach, czystych i jasnych, gdzie będą mogły bawić się nie przeszkadzając nikomu, pod nadzorem siostrzyczki Berty, rozsądnéj dwunastoletniéj dziewczynki, która jedna tylko pojmowała smutną ich dolę.

Marya Anna długo rozmawiała z Bertą, dodając jéj odwagi słodkiemi pieszczotami, udzielając dobrych rad jak ma postępować, a dobre dziewczę przyrzekło ciotce że będzie zarazem czujną i uległą, i przeniesie na ojca tę miłość jaką miała dotąd dla ukochanéj babuni.

XXI.

Zima ubieliła szczyty gór Pirenejskich; Kommissya doświadczalna powróciła do Francyi, sam tylko pan de Vambry pozostał jeszcze w Ameryce. Listy jego, był to nader zajmujący dziennik podróży; żadna piękność, osobliwość lub przywara tych krain, nie uszła badawczego oka porucznika artyleryi.

Tak pan de Fouzolle jak margrabina unosili się nad temi listami:

„Co to za głęboki pogląd!... jak śliczne obrazowanie!... co za dowcip!... wołali czytając. Marya Anna zawsze „szukała jakiegoś“ słówka tchnącego serdecznem uczuciem i znaleźć go nie mogła.

Mimo zupełnéj nieznajomości zwyczajów wojskowych, pojąć nie mogła jak to być może aby sekretarz zmuszony był pozostać w Ameryce, skoro cała kommissya wróciła już do Francyi, ukończywszy swoje prace. Choć z wielką nieśmiałością, odważyła się jednak zadać to pytanie, w jednym ze swoich krótkich, pełnych serca listów, w których tak lękliwie wyrażała uczucia swoje.

Stefan nie obraził się tem ani zakłopotał; objaśnił iż choć doświadczenia ze strzelaniem ukończone zostały, on musi jeszcze układać długie i szczegółowe o nich sprawozdania, czekać na sporządzanie kosztorysów i wykończenie rysunków nowych dział, co wymaga znacznych kosztów i dłuższego czasu. Jednak, dodał, spodziewam się że to już niedługo potrwa.

Właśnie gdy Marya Anna liczyła już na blizki przyjazd Stefana, doszła go wiadomość o śmierci matki, którą jako przywiązany syn uczuł bardzo dotkliwie. Tłumiąc jednak w duszy ciężką boleść, z wielkiem natężeniem umysłu oddawał się obowiązującym pracom rachunkowym, co w połączeniu z tak ciężkiem zmartwieniem, nader szkodliwie oddziałało na jego zdrowie.

Ciężka gorączka na kilka tygodni przykuła go do łóżka. Pomimo iż nie dozwolił donosić o tem młodéj żonie, aby jéj nie niepokoić, odgadła jednak chorobę jego wiedziona przeczuciem serca, i napisała zaklinając aby pozwolił jéj przyjechać go doglądać. Ale tak znaczna odległość oddziela Amerykę od Bayonny, iż razem z pełną wdzięczności odpowiedzią Stefana, odebrała wiadomość o zupełnym jego powrocie do zdrowia.

Amerykański doktór nie chciał pozwolić panu de Vambry, aby osłabiony jeszcze puszczał się w podróż morską, która mogłaby mu zaszkodzić; naznaczył znacznie późniejszy czas odpłynięcia do Francyi, a pacyent się nie opierał. Po cóż miał się śpieszyć z powrotem? nie zastanie już ukochanéj matki... a żona?... ach! jest ona otoczona taką troskliwą opieką i przywiązaniem margrabiny, iż zapewnie nie czuje potrzeby i nie pragnie zbytecznie jego powrotu.

W prawdzie z listów jéj inaczéj należało wnosić... ale trzeba było czytać między wierszami czego dziewicze serce wypowiedzieć nie śmiało. A Stefan czy nie umiał, czy nie chciał tego wyczytać. Ożeniony bez miłości, bez pociągu nawet, bez marzeń i złudzeń, bezwiednie oddalał termin, w którym przyjdzie mu nareszcie spłacić dług zaciągnięty względem swéj nowéj rodziny.

Po długiéj rozwadze uważał teraz małżeństwo swoje jako krok wyrozumowany, nie przedstawiający mu żadnych złudzeń, którego ciężkie obowiązki postanowił spełnić sumiennie i z godnością.

— Jest dobra... łagodna..! pełna prostoty... i będzie mnie kochać, a ja wdzięcznym jéj będę za to uczucie, myślał sobie nieraz. Z ufnością złożę w jéj ręce honor mego nazwiska i zarząd domu... Pragnąłbym aby miała dzieci ładne i zdrowe, żebym mógł je kochać i przez nie przywiązać się do życia... Ale czyż wątłe jéj zdrowie dozwoli abym jéj zawdzięczał jedyną radość jakiéj od niéj spodziewać się mogę?... Biedne dziewczę!... może zastanę ją jeszcze słabszą i mizerniejszą jak przed wyjazdem.

Marya Anna rzadko kiedy w listach wspominała o zdrowiu swojem. Uszczęśliwiona jego znaczną poprawą i ciągłem sił umacnianiem, nie śmiała jeszcze cieszyć się nadzieją trwałości tego polepszenia i dla tego nie donosiła o niem temu dla którego właśnie pragnęła być zdrową.

Pierwszy to raz przebywała zimę szczęśliwie, nie kaszląc, nie czując żadnych cierpień ani osłabienia; uszczęśliwiona i zdumiona zarazem margrabina, modliła się i dziękowała Bogu, błogosławiąc Graciozę, któréj kuracya, starania i opieka, istnego dokonały cudu. Jakże też serdecznie dziękowały jéj obie!

Gracioza Irribery, odpowiadała:

— Nie mnie dziękujcie ale matce mojéj, Wincentynie Irribery, która już poszła do nieba. Ona to nauczyła mnie leczyć wątłe, blade dziewczęta niknące z braku sił, których uczeni doktorzy powrócić im nie umieją. Jéj więc należy dziękować, jéj pamięć błogosławić.

Gracioza coraz małomówniejsza, dziksza, schodziła do Bayonny po to jedynie aby przynieść Maryi Annie świeżych ziół i kwiatów pyrenejskich, które zbierała, to na cmentarzu w Mouguerre, to w swym ogródku, to na grzbietach gór. Z kwiatów zbieranych na mogiłach umiała wytwarzać lekarstwa rozbudzające siły żywotne, i ci którzy ją nazywali, „czarownicą“ mogli usprawiedliwiać się przynajmniéj pozorami.

— Czy to prawda, zapytała jéj raz Marya Anna, że nie chcesz wcale zaślubić narzeczonego?

— Nie mam już narzeczonego i żadnego mieć nie chcę.

— Mówiono mi że Jan Berette kocha cię bardzo.

— To źle, powinienby zapomnieć.

— Ale droga moja Graciozo, szczeréj i uczciwéj miłości nie godzi się odrzucać jak zużytego odzienia.

— Wiem o tem!... odrzekła Baskijka stłumionym głosem.

— A więc czemu uważasz to za złe temu biedakowi?

— Żałuję go... ale więcéj uczynić nie mogę.

— Któżby cię posądził że jesteś tak okrutną, droga moja wieszczko gór?... ty tak dobra dla mnie, dla wszystkich!

— Nie jestem dobrą dla tych którzy mnie obrazili lub dotknęli boleśnie.

— Cóż on uczynił tak złego; czem na gniew twój zasłużył?

— Czem?... Co uczynił?... Chciał... Ale nie, Maryo Anno de Eouzolle, ty nie powinnaś o tem wiedzieć.

Jak wszystkie młode mężatki, zwłaszcza kochające mężów, Marya Anna lubiła aby ją nazywano nazwiskiem męża, co zresztą było zupełnie zgodne z przyjętemi zwyczajami, lecz Gracioza nie chciała się do tego zastosować. Z jakimś dziwnym uporem, który mógłby zniecierpliwić jéj przyjaciółkę, gdyby ta zdolną była do gniewu, strzegła się nawet wymówić nazwiska pana de Vambry; tak więc ta rozmowa jak wiele już innych o tym przedmiocie, zakończyła się lekkim wyrazem niezadowolnienia ze strony Maryi Anny, i ponurem milczeniu młodéj Baskijki.

W środku zimy, kiedy właśnie Stefan zachorował w Ameryce, list małéj Berty de Vambry zakłócił spokój cichego życia Maryi Anny.

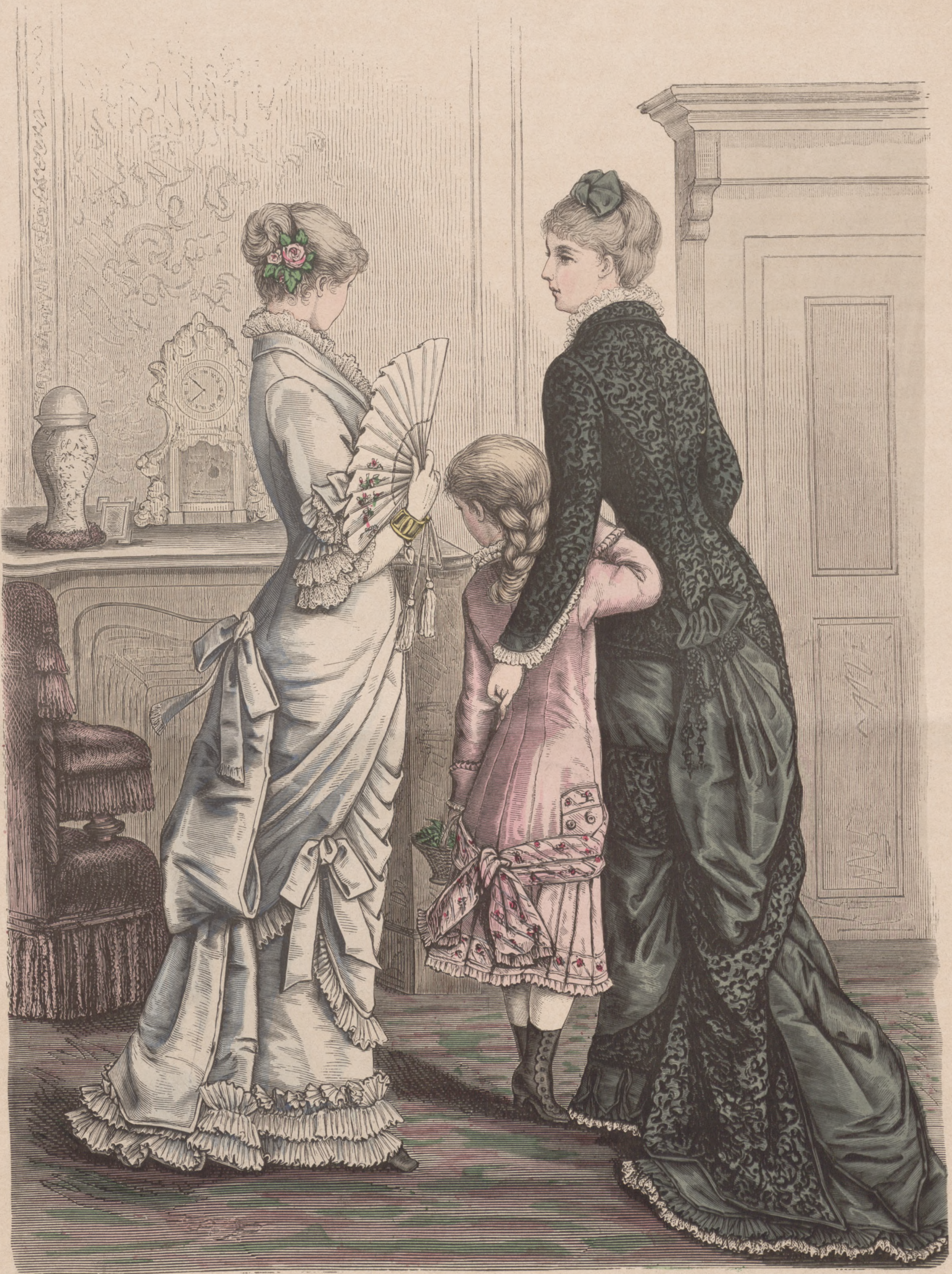
„Moja droga ciociu, pisała dziewczynka, bardzo mi przykro że cię widzieć nie mogę; chciałabym ci powiedzieć bardzo wiele rzeczy, a napisać tego nie śmiem. Zresztą, mama nie chce abym często pisywała do ciebie, z początku chciała nawet czytać moje listy, ale ojciec powiedział aby mi pozwoliła pisać co tylko zechcę, pomimo to jednak nie jestem jeszcze zupełnie o nie spokojną. Piszę do ciebie na bardzo brzydkim papierze, bo mama odjeżdżając zabrała z sobą klucze, ojciec zaś pośpieszył natychmiast za nią, i musiałam wziąść arkusz papieru z jego bióra. Muszę ci wyznać, kochana ciociu, że jeżeli ojciec nie wróci dziś wieczorem, to będziemy w wielkim kłopocie. Służąca nasza nie ma już pieniędzy, a pisarz nic jéj dać nie chce. Dziś rano powiedział przy mnie „co za cudaczny dom i gospodarstwo“ a mówiąc to tak jakoś dziwnie patrzył na mnie.

„Bądź zdrowa kochana ciociu; nie chciałabym pozostać długo tak jak teraz jesteśmy, i nie rozumiem po co ojciec tak nagle wyjechał za mamą; mógł być przecie o nią spokojny, skoro wiedział że pojechała ze swym kuzynem. Przesyłamy ci wszyscy uściśnienia. Nie podoba mi się to bardzo że Adryanna stoi prawie ciągle przed lustrem, i przygląda się sobie, lub układa włosy, a to od czasu jak mama powtarza jéj tak często że jest ładniejsza od nas wszystkich. Piotruś przyciął sobie drzwiami palce. Ludwisia oko boli. Marynia dostaje trzonowych ząbków i ciągle płacze. Zapomniałam jeszcze napisać że ojciec wyjechał już od sześciu dni.

Szczerze kochająca siostrzenica,

Berta de Vambry.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Pl. 413.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.